CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

Uniwersytet Gdański Biblioteka
0215

NUMER 20 (77) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN, DNIA 18 MAJA 1947 ROK ROK III

Prof. Dr Stanisław Kulczyński, Rektor Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

ZOFIA GOSTOMSKA

Założyciele

Mało jest ludzi, którzy zwiedzając Wrocław po raz pierwszy od czasu objęcia go w nasze posiadanie, potrafią patrzeć nań bez uprzedzenia i nie zrażać się widokiem zniszczeń wojennych, rzucających się w oczy, nie pięknych oczywiście rumowisk najeżonych lasem sterczących kominów, a jako podszycie, gmatwaniną poskręcanego żelastwa. Powtarzają oni zwykle jedne i te same słowa ubolewania czy niewiary tak długo, dopóki po jakimś indywidualnie nieokreślonym czasie podchwycą rytm zbudzonego wśród ruin polskiego życia i zaczną się doń dostosowywać, odnajdując stopniowo wszelkie ukryte między gruzami piękno, czy to ocalałych zabytków architektonicznych lub wzruszających duszę Polaka śladów polskości, czy wreszcie dobro pracy wiążącej tu dłonie, umysły i serca w jedno wielkie zjednoczenie i dla jednego wielkiego celu.

Cóżże mieli na swe pocieszenie i umocnienie się w duchu owi nieliczni prekursorzy, którzy przybyli do Wrocławia już w drugi dzień po kapitulacji Niemców, wpadając z nagła w samo sedno chaosu zburzonego i płonącego miasta? Co czuli i myśleli, przebiegając zasypane gruzami ulice pełne plądrujących maruderów, z 250.000 ludności niemieckiej ukrytej w piwnicach? Jakie były ich noce przesypiane na deskach podłogi po całodziennym umęczeniu w wielokilometrowych marszach i wśród wytężającej pracy zabezpieczenia ocalałego mienia?

Mogę stwierdzić jako naoczny świadek i współpracownik pierwszej ekipy kulturalno - naukowej Wrocławia, że snu naszego nie zdołały popsuć ani kanonady uliczne, wybuchy min i amunicji, czy szumy pożarów, ani nawet tusz smrodliwej cieczy spadającej na nasze posłania z otworu pękniętej rury. Mieliśmy zaś w duszy tyle śpiewającej radości z zaszczytnego posłannictwa i taką wolę wywiązania się z poruczonego zadania, że żadne przeszkody i niebezpieczeństwa nie mogły nas powstrzymać.

Wizjonerem, idealistą, omal że nie szaleńcem nazywali sceptycy przewodniczącego grupy naukowej, **prof. Stanisława Kulczyńskiego,** wówczas pełnomocnego delegata Ministerstwa Oświaty, obecnie Jego Magnificencję Rektora Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Nie wiele sobie czyniąc z ludzkiego gadania, chwycono się za kłody, ale to mało, za gruzy, ruiny, drzwi, okna i bramy, powalone ściany, rozbite mury, instalacje i — nie było takiej trudności, którejby nie przełamano, lub w gorszym wypadku nie ominięto.

Ramy tego artykułu nie pomieściłyby nawet najbardziej pobieżnego opisu przedwstępnych prac, które przy braku materiałów budowlanych, funduszów, żywności, środków komunikacyjnych i transportowych oraz polskich sił pracowniczych zostały jednak z mniejszym czy większym powodzeniem przeprowadzone. — Pisano już o tym wiele, kto ciekaw, znajdzie ich dokładny przebieg, podobnie zresztą jak i całej dotychczasowej działalności Uniwersytetu i Politechniki wrocławskiej w dwóch świetnych mowach rektorskich, z dnia 9. czerwca 1946 r. i 9. grudnia 1946 r., wygłoszonych z okazji uroczystości inauguracyjnych, a drukowanych urywkowo w prasie, w całości zaś we Wrocławskim Kalendarzu Akademickim na rok 1947.

Sylwetki czołowych działaczy Grupy Naukowej Wrocławia są charakterystyczne, tak że z przykrością przychodzi mi ograniczyć się do kilkokreskowych szkiców, lub do wymienienia tylko ich szacownych nazwisk.

Rektor Kulczyński o spokojnej twarzy i pięknym spojrzeniu, który nie unosi się nigdy i czasem uśmiecha. B. rektor Uniwersytetu lwowskiego, botanik, zaraz na wstępie przyjazdu do Wrocławia ugodzony w samo serce widokiem rozbitego warsztatu naukowego jego specjalności. W rozwalonym bombą gmachu resztki cennych zbiorów naukowych, w ogrodzie strzaskane szklarnie pełne zmarzniętej i uschłej roślinności.

Nawał pracy delegackiej, trudne obowiązki, nieustanny szturm z wielu stron naraz, przypuszczany przez współpracowników, potrzebujących wciąż jego wskazówek, rady, potwierdzenia, pozwala mu przeżyć ten zawód, ale nie zapomnieć.

Zastępca delegata **prof. Stanisław Loria,** fizyk (Lwów) żyjący wspomnieniami świetnych uczelni amerykańskich, z czołem namarszczonym troską, zapracowany w imię powodzenia wielkiego dzieła odbudowy.

Prof. Kamil Stefko (Lwów), dziekan wydziału prawa, z anielską pogodą przyjmujący wszelkie dopusty Boże, jakie aż zbyt często spotykały brać pionierską. Senior profesorów, w kombinezonie robotniczym uwijający się z młodzieńczą werwą pomiędzy książkami.

Prof. Józef Zwierzycki, geolog przed wojną dyrektor Państw. Instytutu Geol. w Warszawie, obecnie profesor Politechniki, zawsze gotów do szerokich rozpraw na wszystkie tematy łącznie ze swym ciekawym, wieloletnim pobytem w Indiach Holenderskich.

W skład grupy weszli początkowo także dwaj przedstawiciele wyznań rzymsko - katolickiego i ewangelickiego: **ks. kanonik Lagosz** (Lwów) i **prof. dr. Wiktor Niemczyk,** obecnie prof. teologii ewangelickiej na Uniwersytecie warszawskim, oraz trzej delegaci dla spraw muzealnych z ppłk. Ciałowiczem na czele. Wielką zasługę położył ks. Niemczyk, który wespół z **dr Janem Piprekiem** (filolog, obecnie zastępca prof. Uniw.) odrestaurował częściowo główny gmach Uniwersytetu.

Należą tu jeszcze pp.: **dr. inż. Henryk Kuczyński**, chemik, (Lwów, dzisiaj prof. Politechniki), **dr. Wiktor Gorzelany,** chemik, (Lwów, obecnie adiunkt Politechniki), mgr. **Stanisław Jóźkiewicz,** chemik, (Lwów, obecnie adiunkt Uniw.) oraz **Zofia Gostomska,** b. bibliotekarka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, obecnie Biblioteki Uniwersyteckiej. Pięciu lekarzy, a mianowicie: **doc. Tadeusz Baranowski (Lwów,** obecnie prof. na wydziale lekarskim), **dr. Tadeusz Owiński** (Lwów), **dr. Stanisław Szpilczyński** (Lwów), **dr. Andrzej Dzioba** (Lwów) i **dr. Tadeusz Nowakowski** (Poznań) stanowili z konieczności grupę może najbardziej bojową naszej ekipy, będąc więcej niż inni narażeni na ataki maruderów wojskowych i szabrowniwów. Ci ostatni bowiem, bieżach Rzeczypospolitej. Ale wpierw musieli wyrwać płomieniom co się jeszcze dało, musieli chronić przed bezmyślną furią wojennych „poszukiwaczy skarbów".

Praca owych rzeczywistych pionierów, którzy nie tylko umysłem lecz także własnymi rękami doprowadzili do obecnego stanu Uniwersytet i Politechnikę wrocławską wymaga upamiętnienia, tym bardziej, że bez porównania ciężej przychodzi budować z gruzów niż od nowa.

Niechaj przyjmą za swój trud podziękowanie.

Redakcja.

Uniwersytet Wrocławski.

Prof. Dr Stanisław Loria

Prof. Dr Kamil Stefko

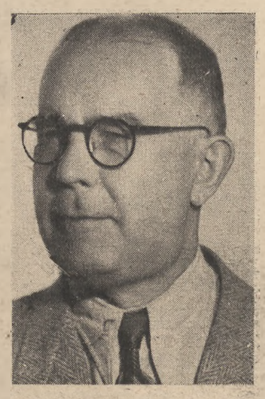

Prof. Dr Inż. Józef Zwierzycki

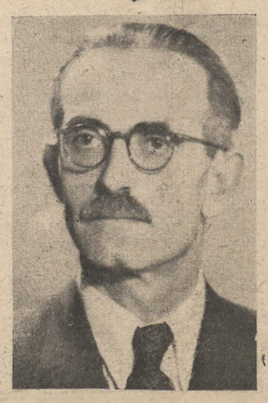

Ks. Prof. Dr Wiktor Niemczyk

Prof. Dr Jan Piprek

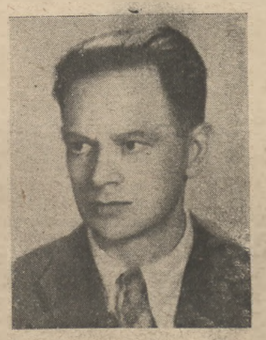

Inż. Dionizy Smoleński

Zofia Gostomska
Bibliotekarz Uniw. Wrocławskiego

Jak to uczynił? Faktem jest, że pierwsze kominy jakie zadymiły nad Wszechnicą wrocławską, to kominy Politechniki i że było to jego wyłączną zasługą. **Dr. Edward Zubik (Lwów),** dzisiaj adiunkt Uniwersytetu, objął referat transportowy, który nie posiadał ani jednego koła, ale już w kilka dni po wyborze kierownika pysznił się starym gratem o napędzie drzewnym i pięknym, szarym Opelkiem, zdobytymi w sposób w każdym razie nie szablonowy. Referat ten rozwinął się później pięknie oddając sprawie odbudowy niezmierne usługi.

Zgłosili się następnie **dr. Edward Marczewski** (Warszawa, dzisiaj prof. matematyki) i **Mieczysław Jarema** (Lwów, obecnie zastępca sekretarza Uniw. i Polit.).

Przybyli z Krakowa, tymczasowego miejsca zamieszkania, **prof. Karol Maleczyński,** historyk (Lwów) i **doc. Kazimierz Majewski, archelog** (Lwów, obecnie prof. Uniw.), który objął referat muzeów i opieki nad zabytkami. Obaj niezmordowani w pracy wytężającej na tyle, iż stała się ona u prof. Majewskiego przyczyną ciężkiej niemocy serca.

Przypadkiem lub nie — znalazł się na szarym końcu mojego opowiadania człowiek, którego właściwie należało umieścić na samym wstępie. Jest nim **dr. Antoni Knot,** (Lwów), dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej i Ossolineum, który jeszcze na 24 godzin przed wymienionymi, 9. maja 1945 r., jako czołówka grupy naukowej, w towarzystwie **Stanisława Kamińskiego** (obecnie urzędnika Uniw.) i **Włodzimierza Kozaka** (obecnie urzędnika Referatu Transportowego), przybył na ciężarówce do Wrocławia, ażeby z właściwą sobie energią przygotować kwatery dla nadjeżdżających. Uczynił to w sposób błyskawiczny, co staje się jeszcze dziwniejsze, gdy zważymy, że dom przy ul. Blüchera 27 (dzisiaj ks. Józefa Poniatowskiego) stanowił podówczas jedyny chyba obiekt w mieście, nadający się jako tako na ten cel.

Dyr. Knot znany ze swych zdolności organizacyjnych w szerokich kołach Wrocławia posiada bogate konto zasług, głównie na terenie Biblioteki. Prócz remontu, urządzenia gmachu i wzorowego zorganizowania prac bibliotecznych, przeprowadził on w ciągu minionych dwu lat ogromną akcję rewindykacyjną, zabezpieczając i zwożąc księgozbiory poniemieckie z różnych zakątków Dolnego Śląska, w których ukryli je Niemcy przed oblężeniem miasta.

Przy swoich nie dających się spisać na wołowej skórze obowiązkach i zobowiązaniach, spirytus movens wszelkich uroczystości, obchodów, zebrań, posiedzeń i opłatków, czynny i ruchliwy jak żywe srebro, jest dr. Knot biczem Bożym na opieszałych i ciężkim utrapieniem pracowitych. Stąd w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu, wbrew skostniałej atmosferze bibliotek starego typu, panuje klimat ustawicznego wiatru, do którego ostatecznie można się przyzwyczaić.

Należy jeszcze wymienić **Jana Wagemana,** starszego magazyniera Biblioteki, długoletniego funkcjonariusza Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie, oraz pierwszych członków straży akademickiej: **mgr. Józefa Gębczaka** i studentów, **Alfreda Gawła, Mieczysława Gębczaka, Tadeusza Herziga, Romana Jaworskiego i Edwarda Mielcarzewicza.**

Oto komplet ludzi, którzy na różnych stanowiskach i odcinkach, jako kierownicy, podporządkowani, urzędnicy i niżsi funkcjonariusze spełnili w okresie początkowym, najtrudniejszym i najbezpieczniejszym, na terenie Uniwersytetu, swój ofiarny i zaszczytny obowiązek.

Dr Edward Zubik

Prof. Dr Karol Maleczyński

Prof. Dr Kazimierz Majewski

Dr Antoni Knot
Dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu.

Ks. WIKTOR NIEMCZYK

Listy z uwolnionego Wrocławia

Zamiast szablonowego artykułu podaję kilka, ujętych w niepowiązaną całość, urywków z moich listów, pisanych w pierwszych dniach pobytu we Wrocławiu (od 10 maja 1945) do mojej rodziny pozostałej w Krakowie. W listach tych opisywałem pod bezpośrednim wrażeniem wypadków i działalności naszej na miejscu stan psychiczny własny, który — jak przypuszczam — podobny był, a może taki sam u wszystkich członków Pierwszej Grupy Operacyjnej, może więc służyć poniekąd jako dokument psychologiczny i pamiątka po tych niesłychanie dla naszej sprawy ważnych dniach obejmowania w posiadanie Wrocławia, jako stolicy Dolnego Śląska.

11 maja. *„Podróż była poszarpana — na raty. Wsiadłem do autobusu na Rynku Kleparskim o godzinie 12,30, a odjechaliśmy około godz. 5. Najpierw tylko do Katowic. Tam przenocowaliśmy i rano o 3 wyjechaliśmy do Wrocławia. Na miejscu byliśmy o 10, ale na jakiejś płonącej ulicy staliśmy, czekając blisko 4 godziny. Mieszkamy na razie przy „Blücherstrasse" nr 27, wszyscy razem. Miasto jest okropnie zrujnowane. Miejscami podobno gorzej niż Warszawa. Teraz nawet w ocalałych domach wybuchają pożary, które niweczą resztę, i to od piwnic. Miasto przedstawia straszny obraz dewastacji. Kościoły przeważnie w gruzach... Za chwilę mają przyjść do mnie dwaj pastorowie na jakieś pertraktacje.*

Zaraz po przyjeździe (wczoraj, 10. V.), ruszyliśmy do Uniwersytetu, który w samym środku ma ogromną dziurę od bomby wielkiego kalibru. Czeka nas bardzo ciężka praca organizacyjna, by ze zgliszcz stworzyć coś à la życie. O ile się to da...

Teraz piszę po przerwie, w czasie której miała miejsce narada między nami (Ks. Kan. Lagosz, Rektor Kulczyński jako Reprezentant Dra Drobnera i ja) a niemieckimi duchownymi: był Biskup Sufragan, kilku kanoników katolickich i dwaj pastorowie. Ustaliliśmy wytyczne wspólnej pracy, poczym poszedłem z nimi na zwiedzanie kościołów. Oni są z tzw. Kościoła Wyznaniowego Niemöllera. Zdarzył się przy tym wypadek typowy dla tutejszych stosunków: gdy przyszedłem do kościoła św. Barbary, jeszcze niczego nie zauważyłem. Otrzymał kilka ciosów bombowych. Gdy w piwnicy konferowaliśmy, przyszedł ktoś z wiadomością, że wieża kościoła dymi. Po 20 minutach wybuchł pożar, a w godzinę później już wszystko jako jeden wielki żar spadło na dół. Tak wygląda rzeczywistość wrocławska. Jesteśmy otoczeni pożarami ze wszystkich stron. Wybuchają one wszędzie, nawet w wieżach kościołów.

Dziś rano mieliśmy zabezpieczyć Bibliotekę Osteuropa-Instytutu, którąśmy wczoraj z Rektorem badali i znaleźli w porządku. A zanim rano doszliśmy, już wszystko było w płomieniach. W nozdrzach mam ustawiczny zapach dymu. Wrocław, to ruina, która płonie i stale na nowo się zapala.

15 maja. *„Jesteśmy wszyscy zmęczeni kurzem, dymem, pożarami i trupim zapachem. Ale praca naszej grupy postępuje naprzód. Mamy do czynienia oczywiście tylko z ruinami, zgliszczami i resztkami... Trzeba będzie zebrać robotników, usunąć gruz, nakryć dachówką i zorganizować lokale na biura uniwersyteckie. Właściwie, choć praca nasza, głównie chodzenie po zgliszczach, wśród pożarów, w kurzu i dymie jest bardzo uciążliwa, czujemy się dobrze — mamy świadomość, że ze zgliszcz pomagamy wstać Feniksowi..."*

17 maja. *„Bardzo trudno jest pisać listy, ponieważ żyje się tu tak szybko, tak wiele się przeżywa, takie ogromne mnóstwo wrażeń zapisuje się na „tabula" świadomości, że nie wiadomo, od czego zacząć...*

Właściwie piszę ten list tylko na próbę, by sprawdzić, jak „idzie" POCZTA POLSKA, i czy mają już stempel wrocławski na znaczki. W każdym razie list ten nadaję we Wrocławiu na poczcie — jest to zrujnowany dom, w którym poczta organizuje się dopiero. Dziś mamy 16 czy 17 — nawet dokładnie nie wiemy, w każdym razie jest czwartek, więc 17 maja, a list nadam jutro — bo może jutro pojedzie auto z pocztą do Krakowa."

20 maja. *„Myśleliśmy, że wracamy do normy, gruz się uprząta, gdzie tylko można, a dziś znowu po krótkiej pauzie, wybuchły 4 nowe duże pożary. Przedwczoraj spłonął jeden z naszych ewangelickich kościołów, św. Marii Magdaleny. Widzieliśmy to, bośmy akurat przechodzili tamtędy. Już to nie robi na nas żadnego wrażenia...*

Dziś, tj. 26 maja miały miejsce dwa ważne wydarzenia. O 9 rano odbyło się pierwsze wspólne posiedzenie Grupy Naukowej z prezydentem Drem Drobnerem, i to już w Uniwersytecie, na który to cel trzeba było szybko przygotować salę posiedzeń Senatu Uniwersyteckiego. Drugie ważne wydarzenie: o 3 odbyła się uroczystość powitania X Dywizji W. P. we Wrocławiu na Placu Wolności. Wojsko Polskie obejmuje tu służbę, i może będzie bezpieczniej, bo dotąd to bezpieczeństwo było bardzo małe...

Przedwczoraj przeprowadziliśmy się z dawnego, bardzo niewygodnego mieszkania w mieście do Karłowic, gdzie w kilkanaście osób zajmujemy cztery wille. Ponieważ jednak mieszkamy w trójkę i wszyscy trzej pracujemy w mieście, więc bezpieczeństwo naszej willi jest bardzo małe. Wczoraj ktoś zakradł się i wyszabrował nas... Obiecują, że dostaniemy odszkodowanie..."

8. czerwca. *„...Z Dr Ow.... mieszkamy razem od pierwszego dnia pobytu tutaj. To zbliża. W ogóle my z pierwszej grupy bardzo się z sobą zaprzyjaźniliśmy, stanowimy jakby jedną wielką rodzinę. Dziś śpi u mnie prof. L., który był przez 3 lata profesorem uniw. w Ameryce. Dziś go... wyrzucili z mieszkania, bo na jedną noc chcą zamieszkać. Wogóle są tu czasem dzikie pola na zachodzie, strzelanina, pożary, wybuchy, etc. Ale mamy dużo entuzjazmu, zapału i przede wszystkim teraz już „uporu". Bez uporu dawno bylibyśmy pouciekali."*

20 czerwca. *„...Żyjemy w czasach przełomowych. Nasza działalność tutaj nie może być daremna, musi ona stanowić zacieranie i naprawianie błędów, od Kazimierza Wielkiego na ludzie tym i tej ziemi popełnianych. Tak patrzę na tę sprawę i to dodaje mi siły, aby trwać w tej pracy pionierskiej dalej.*

Sądzę, że pracę tę może poprowadzić tu tylko ten, kto ją rozpoczął. Oto wiązanka myśli na ten temat, wynikłych nie z ambicji i pychy, ale ze świadomości, że takiej pracy, jakiej 6 tygodni temu podjęliśmy się z rektorem Kulczyńskim i Dr Knotem i innymi, gdy na naszych oczach paliła się Biblioteka Uniwersytecka, a myśmy wspólnie w ciągu tych 6 tygodni cały szereg gmachów i obiektów kultury spod popiołu i gruzów po prostu pazurami wygrzebali — nie! — takiej pracy nie potrafi prowadzić dalej nikt, tylko ta pierwsza ekipa pionierska... Tak się zaprzyjaźniliśmy z sobą, że na samą myśl, iż ktoś z niej miałby ubyć, z jej dawnego pierwotnego składu, z ust wszystkich wyrywają się słowa: Nie, to niemożliwe. To myśmy tu przynieśli ten entuzjazm, ten zapał, a teraz mamy już upór, by pazurami wygrzebywać z popiołów i zgliszcz przyszłe gmachy uniwersyteckie..."

Ks. Dr Wiktor Niemczyk.

ROMAN TOMCZYK

Deszczowa historia

WSZYSTKIEGO tego by nie było, gdyby nie zjawisko atmosferyczne: deszcz. Zalał drogi, potworzył na leśnych ścieżkach kałuże; buty, ciapiące beznadziejnie po błocie stawały się ciężkie, jak powojenne czasy. Nie było innego wyjścia, jak tylko wejść do pierwszej lepszej chałupy i przeczekać. Sadyba wnet się nadarzyła — ani duża, ani mała, a pożądana, jak to tutaj, w Beskidzie. Gospodarze byli dopasowani do domu; gościa przyjęli po tutejszemu, ani gwałtownie drzwi nie zamykając, ani zbyt rozlewnie nie zapraszając. Kiedy zaś deszcz wnet zmienił się w deszczowinę, drobną, dychawiczną, a długowieczną, zaproponowali sami nocleg. Ale nie deszcz tu ważny, ani dom, ani nawet gospodarz. Ważna jest pewna — tak przez nich zwana — „książka".

Książka z początku trochę śmieszna

Leży tam, pod piecem, a dziecko przewraca jej kartki. Papier stary i pożółkły, format nieduży, a na okładce tytuł: „Rolnik śląski. Redaktor i wydawca: Ks. Franciszek Michejda. Rocznik dziesiąty. Rok 1894. Adres redakcji i administracji: Nawsie, Księstwo Cieszyńskie". Pierwsze to chyba pismo wydane na wsi, starszy brat „Wsi i jej pieśni" z Naprawy, której redakcja mieściła się letnią porą w stodole, jak tu na plebanii.

Artykuły traktujące o niesamowitej ważności braku paszy, czyszczenia żłobów, karmienia cieląt, zdychania gąsiąt — strapienia niezmienne i arcyważne od lat. Cóż z tego, że światem przewaliła się wojna jedna i druga, Franciszek Józef bokobrodacz i Adolf z wąsikami, że miasta całe znikły lub zamieniły się w kupę gruzów? Rolnik Sikora z „Rolnika" niezmiennie trapić się będzie na tych kartkach chorobami swych gąsiąt, a na wsi donioślejszym i szerzej komentowanym będzie zagadnienie pomoru kur niż bomba atomowa.

Padające za oknem krople deszczu wolne, nie spieszące się nastrajają melancholijnie: oto toczy się dyskusja na temat działalności pewnej sekcji hodowli ryb przy kółku rolniczym, którą oskarżono bezpodstawnie o jakąś nieścisłość. „Draka" jest niebywała, albowiem oskarżycielem jest . . , sam pan nauczyciel. Trzeba było aż komisję zwołać dla zbadania zarzutów. Komisja po rozpatrzeniu sprawy orzekła wynik, ujmując wnioski w kilku punktach, po czym w punkcie czwartym nazwała po imieniu sposób postępowania adwersarza:

„Ze zdziwieniem stwierdzono, że to, co pisze p. nauczyciel K. jest bardzo niegrzecznym".

Stają człowiekowi w oczach dyskusje toczone dziś w pismach, gdzie przeciwników obrzuca się obelgami i wtedy dopiero imponują te słowa. Być może, że w piśmie rolniczym zbyt szanuje się gnojówkę, jako cenny nawóz, aby nią oblewać przeciwników, ale być może, że „chamów" dziś nie na wsi szukać trzeba.

Wzdychamy zatem nad kartkami; smucimy z „zasmuconym rodzicem nad zimnym łożem miłego kwiatka z wieńca rocznicy, który odszedł na zawołanie Najdoskonalszego Ogrodnika", omal że nie wybieramy się na wielki jarmark w Cieszynie, na który zaprasza w ogłoszeniu „Sukienny Dom Handlowy" („Na placu, 6 buda, którą można także poznać po jej wielkości, zresztą należy stanowczo uważać na tabulę z firmą"). Nieco niespokoju budzi pewne sprawozdanie z zebrania Towarzystwa Rolniczego, gdzie prócz referatów o nowych metodach rolniczych w Danii, wygłoszono referat o alkoholiźmie.

„Czyni on człowieka szatanem. Zabija wszelkie władze umysłowe. Referent podał szereg sposobów walki przeciw alkoholizmowi, nad którymi będzie się zarząd dalej zastanawiał. Prezes zamknął zebranie z życzeniem, aby te godziny tak dobrze spędzone, na darmo nie wyszły! Poczem część zgromadzonych udała się do gospody na rozmowę, która przyczyniła się do tego, że zebrani rozeszli się w dobrym humorze".

Widocznie tam zebrani: 1) zastanawiali się nad sposobami walki z alkoholem (niszczyć! niszczyć!) i 2) sprawdzali, czy referent miał rację, mówiąc o złych skutkach. Po polsku.

Nie z wszystkich rad można bez zastrzeżeń skorzystać: „Dozorca powinien na jakiś czas przed oprosieniem wchodzić do chlewa i bawić się ze świnią, żeby oswoiła się z nim i później w czasie porodu pozwalała mu chodzić koło siebie itd." — ani we wszystkie wiadomości twardo uwierzyć:

„Stan zasiewów. Oziminy dobrze się przedstawiają z wyjątkiem niektórych okolic Galicji i Śląska, gdzie jesienią ślimaki poczyniły szkody. Przyszły zaś one z Moraw" (Ślimaki!)

Zgoła natomiast kapitalne w swojej postaci są wskazówki w odpowiedziach redakcji. Z bezsennością należy walczyć w ten sposób: „Gdy się obudzisz z uczuciem niedomagania i nie możesz usnąć, wstań, obróć poduszkę, przetrzepaj i odwróć pierzynę, tak, aby się całe łóżko wychłodziło. Tymczasem się przechadzaj po izbie, aż ci się chłodniejsze powietrze stanie nieprzyjemnym. Potem się znowu połóż a najczęściej uśniesz i będziesz miał łagodny sen".

Zdarzają się jednak ludzie, którzy są trapieni odwrotną, a na wsi tak niepopularną słabością, jaką jest nadmierny pociąg do spania. Tu już sposoby podawane muszą być radykalniejsze: amoniak pod nos i zimna woda. Do „śpiaczki" zalicza także zacny redaktor i noctambulantio:

„Jest jeszcze inny rodzaj tej choroby, którą lunatyzmem zowią, to jest, co śpiąc po nocy chodzą. Na tę chorobę sposób ten: Niech kto strzeże na takiego z brzozową rózgą, a gdy chodzić pocznie niech tnie, nie folgując, głowy tylko oszczędzając, a potem niech się skryje, albo śpiącym uczyni. Jeśliby to leczenie raz użyte nie pomogło, powtórz, a uznasz skutek".

Przy przeglądaniu tych artykułów o wołkach zbożowych i hodowli koni, o dolegliwościach cieląt, wstaje jednak z nad pożółkłych kart jakaś mgiełka i przesłania oczy rozczuleniem. Ileż to tam temu lat jak tą ziemię odgrodzono od reszty kraju płotem na pięć wieków wysokim! Ileż tu narodziło się ludzi, którzy zatraciwszy rodzinną mowę i obyczaj poszli znosić plon do cudzej, czeskiej lub nawet niemieckiej stodoły! I oto ktoś wyszedł na drogi z mizerną łapówką w noc, począł rozświetlać zagmatwane drogi, stawać na rozstajach, nie śmiało mówić, że nie tędy iść trzeba ale tamtędy. To te tam „Gwiazdki Cieszyńskie", „Przyjaciele Ludu", „Dzienniki Cieszyńskie" i „Rolniki". To już dziesiąty rok istnienia tego ostatniego pisma. Język już czysty i piękny. Ale właśnie ta mgiełka wstaje nie wtedy, gdy jest on poprawny, ale wtedy, gdy oczy natrafią na jakieś **hafty ku kabotkom, ceruchniczkę zakludzoną** czy zgoła **wszetko.** Ostatnie to bowiem już potknięcie w literackim języku, a dowodzące, że ludzie piszący są tutejsi i długa a zapyloną mieli drogę przez gąszcz obcych **ślabikarzy** ku własnemu językowi.

Na trzech bezmała stronach opisuje oto siedlak spod Cieszyna swoją wielką podróż do samego Krakowa. Wydarzenie widocznie rzadkie, gdyż jak sam pisze, sąsiedzi tak często proszą go o opowiadanie wrażeń, że postanowił napisać. Więcej zresztą uwagi poświęca wyglądowi stodół widzianych z pociągu, niż miastu. Z wielką natomiast satysfakcją stwierdza:

„Mówią niektórzy, że na naszem Śląsku nie mówią dobrze po polsku lecz w Krakowie spostrzegłem, że i tam nie mówią gramatycznie i nie mógłbym się przyzwyczaić do wyrazów: „Cego" zamiast „czego" „cas" zamiast „czas" itd.

Ileż to dumy ma siedlak z tego, że języka polskiego nieznа gorzej! Z jakimże oburzeniem musiał czytać tę notatkę o dwie kartki dalej o otwarciu wystawy pszczelniczej, na której niejaki Folwarczny „z rodu Polak" przemawiał „tylko niemiecką mową".

„Niechże p. F. wie, że takim postępowaniem obraził polski lud i wszystkich Polaków i że jest on za mały pan, aby sobie pozwalał na takie łajdactwa. Niech sobie więc wita Niemców, my Polacy wcale tam nie chodźmy, gdy nas tam komitet nie chce nawet przywitać. Pomiatać sobą nie damy".

Mgiełka rozczulenia wstaje z kart coraz częściej — oto przykłady takich, co obywają się bez Niemców, oto notatka, że firma niemiecka zamiast nasion czystych posłała koniczynę z konianką. Rozumiemy dobrze, że już nie tylko tu idzie o wyższy poziom rolnictwa, ale o coś większego, ważniejszego niż zachwaszczona koniczyna — o inne chwasty na śląskiej ziemi.

I nie dziwi nas już, że ktoś inny w liście do redakcji przeprasza, iż nie umie jeszcze czysto po polsku pisać, ale że to się wnet poprawi.

Taka była droga naprzód. A potem przyszła — tu i ówdzie — droga wstecz.

Wszystko to się zdarzyło albo się zdarzyć powinno

Na okładce wypisany jest pięknie ręcznym pismem adres i nazwisko: Paweł Suszka. Kto zacz był ten jeden z pierwszych, którzy polskie pismo prenumerowali, oprawili pieczołowicie i na rzeczy pamiątkę zachowali?

— Pomrzył — odpowiadają gospodarze. — Jeszcze przed wojną.

— A dzieci miał?

— Synów. Dwóch. Z tego jeden w niemieckim wojsku kasikej tam został w tej „Nowej Europie" pół łokcia pod ziemią. A drugi jest precz.

— Dlaczegóż precz?

— German. Z Niemcami uciekł.

Pozwólcie, że zatrzymamy się trochę nad tym, dlaczego syn Suszki „jest precz". Bo nie taka to prosta i jasna sprawa.

(Mgiełka przestała wiać z kart. Za oknem pada deszcz i podśmiewa się w gałęziach wiatr).

Przyczyna pierwsza: propaganda niemiecka i oportunizm. W czasie wojny tak zwaną Volkslistę podpisało bardzo wielu ludzi na Śląsku, Pomorzu, w Poznańskim. Dokładne cyfry nie są opublikowane, a byłyby ciekawe. Z tego olbrzymia większość podpisała z przymusu i to nie ulega wątpliwości, jak również nie ulega wątpliwości, że jakaś mała część podpisała bez najmniejszych skrupułów. Było to — powiedzmy — dziesięć procent. Z tych zaś dziesięciu procent połowa to byli niezaprzeczalni Niemcy, zaś pozostali pięć procent to rodowici Polacy, którzy z satysfakcją uznali za swój herb narodowy czarnego ptaka, siedzącego na kółku ze swastyką, czyli tzw. „hulajnogę". Tych ludzi musiała być pewna ilość, jeśli widziało się na stanowiskach w tzw. Gugernii Niemców, którzy tam tylko mogli urzędować, gdyż prócz języka polskiego nie władali dobrze żadnym. I znowu przyjdzie tu odtrącić pewną liczbę ludzi oportunistów, dla lepszych warunków materialistycznych, zdradzających swój kraj i nie zajmować się nimi więcej. Pierwszym oportunistom był Judasz i nie wyszedł na tym najlepiej. Ale była też pewna ilość ludzi bez tego aspektu, przeciętnych, zwykłych ludzi, którzy bez oporu przyjęli narodowość niemiecką, w których bez trudu dało się wmówić, że są Niemcami dlatego, że nie są Polakami. A kim są? **Schlesier, Schlonzaken.** Tak więc do niewadził śląski czy ślązacki przedmieckiej **Volksgemeinschaft** propokój. Przyjdzie się tym jeszcze zająć, na razie wystarczy rzec, że wpierw, niż prawdziwy Quisling się urodził, chadzał i działał na Śląsku jeszcze za Franciszka Jzefa — śląski Quisling, Kożdoń, „fuehrer" tzw. Ślązakowców, wydający po polsku gadzinówki jak „Ślązak" za niemieckie pieniądze fabrykanta bielskiego Josephy'ego, hrabiów Larischów, Thun'ów-Hohensteinów i innych.

Prof. Dr. W. Kuhn z Wrocławia w pracy: „Landschaftlichhe und Volkstumsgrundlagen Schlesiens" tak sobie wesoło pisze:

„Auch die sprachlich polonisierten Menschen und jene gemischtvölkischer Abstammung fuehlen sich infolge der staatlichen Zugehörigkeit zum Deutschen Reich nicht als Polen, sondern als Schlesier (Schlonsaken) undd als glieder der deutschen Kulturgemeinschaft".

Tak się rodziła nowa narodowość śląska, której trzeba było tylko wytłumaczyć, że pochodzi od pragermańskich Silingów zaś język dlatego ma inny, gdyż była „polonizowana".

Najgorszym zaś było i dziś jest to, że pokaźna ilość ludzi, dobrych Polaków, przyszedłszy na Śląsk dawała Ślązakom poznać przez swoje postępowanie, że mają ich za coś innego niż innych mieszkańców kraju. „Wyróżniali" i wyróżniają ich swoim odnoszeniem się choć jest ono krańcowo różne. Jedni przyszedłszy widzą jedynie tylko dobre strony, literackie sentymenty, powstania śląskie, niewolę itd. Tracą przytomność, gdy ktoś powie, że Ślązak jest taki lub owaki. Drudzy natomiast pamiętają tylko o owych germanizowanych, porównywaniach „goroli z Kongresówki" z Niemcami, ludziach noszących wrogi mundur a mówiących gwarą śląską. Dla tych nigdy nie wiadomo czy jakiś Ślązak to nie Niemiec zakapturzony. Nie lubię ich i nie rozumieją. W najbardziej krańcowych wypadkach śląskofil w rozmowie ze Ślązakiem będzie także próbował mówić gwarą śląską — śląskofil zaś poprawiał, pouczał lub wyśmiewał gwarowe słowa. Skutek jeden i ten sam: wyście ze Śląska, a myśmy z Polski. 9A Ślązak wcale takiego wyróżnienia nie pragnie. Nie chce, aby go ani zbytnio kochano, ani nielubiano.

Do pewnej parafii przybył z centralnej Polski ksiądz, który tak bardzo chciał podkreślić, że jest jedno z swymi parafianami, że wygłosił kazanie w gwarze śląskiej. Obraził miast rozczulić i otwarcie poproszono go, aby mówił jak trzeba, bo w kościele „fandzolić" nie wypada, a ich wszystkie książki do modlenia ładnie po polsku są pisane. Tak się szczęśliwie składa, że Ślązacy nie są dziś na rubieżach państwa, lecz omal w jego centrum. Tak na zachód, jak na wschód od ich zwartej, etnograficznej grupy mieszkają ludzie, nie mający na barkach ich pótysięcznego lat brzmienia niewoli. Problem wyrównania różnic jest i dziś aktualny, choć nie tak dotkliwy. Atoli tym ważniejszy staje się problem człowieka, który Polskę reprezentuje, człowieka, na którego patrząc winno się odczuwać dumę narodową, że się do tego samego plemienia należy. Tu trzeba znów wrócić do „książki" Pawła Suszki i pięć synów.

Przyczyna wtóra i najważniejsza: człowiek

Wśród tych, którzy c o n a m o r e podpisali Volkslistę byli i tacy, którzy zrobili to nie z pozytywnego stosunku do Niemiec, lecz z negatywnego do Polski. „Siekło" ich to i owo, zabolało, zapiekło i z tym urazem w sercu doczekali zielonych mundurów.

Za oknem pada deszcz, wolno, wolniusieńko kapią krople po rynnie a w ich takt padają słowa o Suszce, człowieku, który czytywał „Rolnika" i z Niemcami wojował, a którego syn „jest precz".

„Robotę polską" robili wtedy, w niewoli ludzie nic z tego nie mający za życia krom państwowego, okratowanego pensjonatu. Nauczyciele, księża katoliccy i pastorowie ewangieliccy wśród nich przeważali. Żyje jeszcze jeden z nich, zemerytowany oddawna dziadyga. Łazi po polach i wyrywa niewiadomym ludziom osty z pól. Wyzywa zielonego ducha Bogu winne chwasty złodziejami i bandytami, chleb ludziom kradnącymi. Palce, sklerotycznie nie doginające się ma pokłute doszczętnie.

Jakże inną miał Polskę w duszy ten człowiek i jego towarzysze z owej księżo-nauczycielskiej roboty niż ci, co przyszli by rządzić i robić karierę. Wiadomo, że przyszli właśnie tacy, co jej nie mogli zrobić tam, gdzie ich nie znano.

Byli zaś wśród nich sekretarz gminy Koryciński i pan policjant Skopek, lubiący „zapisywać się" „deklarować" „popierać", a na kłanianie się bardzo obaj czuli. A Suszka — jak to Suszka. Nie bardzo umiał się kłaniać. Gdyby umiał, kłaniałby się austriackim „ewancygierom". Użyranie się z Niemcami nauczyło go zato pyskować. Siedzi w niektórych ludziach duch przekory, widzący lepiej rzeczy złe, niż dobre i do zwalczania zła ich pchający. Dosyć na tym, że Suszka za owo pyskowanie zyskał sobie u władz opinię, że to „kawał cholery". Daremnie tłómaczył:

— Jak kto sobie uszyje ubranie choć u najlepszego krawca to i tak tu i tam może źle leżeć, prawda? A jak mu się powie, że ma jedno ramię wyższe jak drugie, albo guzik źle przyszyty, to czy się powinien gniwać, prawda?

Ale pogniwali się pan Koryciński i pan Skopek za to, że im ktoś tam przypomniał, do czego mają prawo a do czego nie. Zapłacił Suszka grzywnę za psa i za płot i za wychodek; poszedł siedzieć do „cienia" za obrazę wszech władnej władzy. Cieszyły się „Schleziery": widzisz sameś sobie winien. Wkońcu otrzymał od policjanta przydomek: „pieroński szwab".

A dzieci zapamiętały. Kiedy zaś Niemcy przyszli, ogłosili, że zmarły Suszka to stary „Volkstumkämpfer" i dzieciom dali dwójkę.

* * *

Poszło dziś znowu na zachód wielu ludzi. Dobrych i złych. I takich, którzy już (jak to miało miejsce gdzie niegdzie) zdołali sobie przywieść do domu 37 pierzyn. Spotkali się tam z autochtonami. Zaczęli urzędowanie. Nieszczęsnym jest to, że prócz najlepszych poszli i najgorsi. Na nich patrzą i Polskę taką widzą, jakimi oni są, ludzie tamtejsi. Być może, że jest tam już i pan Koryciński i pan Skopek, w specjalny sposób urzędują i w specyficzny sposób zwalczają niemczyznę, chodzą i nie widzą nic, krom ukłonu, jak lunatycy:

„Niech kto strzeże na takiego z brzozowym kołem, nie z rózgą, a gdy chodzić pocznie..." itd. itd.

Za oknami domu b. Polaka Suszki pada deszcz.

Roman Tomczyk

Perspektywa Odry

Stanisław Konarz: Śląsk.

W dniu 29 czerwca br. minie 150 lat od chwili, gdy w niewielkim, pięknym Oleśnie na Śląsku Opolskim przyszedł na świat Józef Lompa, z zawodu nauczyciel szkoły ludowej i organista a zarazem jeden z twórców narodowego odrodzenia ziemi górnośląskiej na przestrzeni XIX wieku, jedna z najwybitniejszych postaci nowszej historii Śląska, „autor i wieszcz górnośląski", wybitny etnograf, historyk miast śląskich, bojownik o prawa narodowe i społeczne uciemiężonego ludu śląskiego, siewca oświaty, popularyzator i propagator nowoczesnych metod uprawy roli i prowadzenia gospodarstwa wiejskiego, człowiek biedny i pokornego serca, ale wielki położonymi dla sprawy narodowej na Śląsku zasługami.

Wrogowie gnębiący go za życia bezcześcili jego pamięć po śmierci, lata płynące i wypadki zacierały zarysy jego postaci, nawet grób jego w podcieniu starego drewnianego kościółka pod Woźnikami zrównał się z murawą. Gdy postać ta w XX wieku zaczynała odżywać w pamięci narodowej, mściwa ręka okupanta niemieckiego w pierwszych już dniach września 1939 r. zniszczyła dokładnie to wszystko, czym rodacy pamięć o Lompie utrwalić chcieli. Zerwano tablicę marmurową ze szkoły, w której 30 lat nauczał, „żeby żywioł naszej polskiej młodzieży nie był nazbyt germanizmem tłumiony, ale owszem obudzany", zniszczono skromny pomnik stojący pomiędzy szkołą i kościołem w Lubszy, zburzono nagrobek, stojący na miejscu, gdzie miały spoczywać jego zwłoki. Wojna dopełniła spustoszenia w rękopisach po nim i zrzadka zachowanych drukach, tak że działalność jego pisarska obejmująca ponad 80 pozycji i rozległe dziedziny zainteresowań jest dzisiaj niemal nieznana a resztki jej trudno są dostępne.

W 150-tą rocznicę urodzin Lompy winien powstać komitet trwałego uczczenia jego pamięci, którego trzon stanowić muszą literaci, etnografowie, działacze społeczni i oświatowi, nauczycielstwo i przedstawiciele wsi śląskiej. Staraniem tego komitetu winny być wydane jak najszybciej w krytycznym opracowaniu pisma Lompy w obszernym wyborze i obszerna monografia opracowana przez specjalistów poszczególnych dziedzin, reprezentowanych w jego obfitej działalności pisarskiej. Następnie zadaniem tego Komitetu winna być rekonstrukcja pomnika w Lubszy, wzniesienie skromnych lecz pięknych pomników w mieście urodzenia, Oleśnie, oraz w mieście śmierci, Woźnikach, przy czym nie wolno zapomnieć o jego woli wyrażonej Kraszewskiemu, by na miejscu jego zatartej mogiły położony był głaz woźnickiego piaskowca z napisem: „Tu spoczywają zwłoki Józefa Lompy".

Na tym Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Lompy poprzestać nie powinien. Zorganizować go należy jako stałe Towarzystwo Oświatowe imienia tego pisarza działające na Śląsku Opolskim i mające jako naczelne zadanie działalność oświatową i utrwalanie polskości wśród ludu opolskiego, wiązanie go serdecznymi i trwałymi węzłami z ojczyzną, o której „lepszy byt" błagał Lompa Patronkę Jasnej Góry.

Nie tylko bowiem pomnikami z kamienia należy utrwalać pamięć tego wielkiego Ślązaka, który własną drogą jak syn marnotrawny powrócił na Ojczyzny łono. Utrwalać ją należy przede wszystkim żywym pomnikiem z serc tego ludu, który pracą swą przez lat dziesiątki i pismami swymi przez lat sto do Polski prowadził.

Zdzisław Hierowski

Z wyznań Józefa Lompy

„Dajże Boże! aby i lud prosty czytać mógł! Byłoby to najpomyślniejszym krokiem zachęcić ziomków moich w tej okolicy, aby sobie język polski, w którym przodkowie ich do Boga wołali, lepiej poważali i nim nie gardzili".

zapiska z r. 1844.

„Nie wierzcie, jak obłudni Niemcy twierdzą, że nasza mowa całkiem zepsuta tylko niezrozumiałym żargonem jest!".

6. IV. 1862.

„Nie puszczajcie siedzib pradziadów waszych w ręce cudzoziemców!"

14. VII. 1862.

„O, biedni Polacy! Niechże łaska Boska los wasz zrządzi! Ja oto znienawidzony jestem, że Polacy do mnie wstępują i gazety u mnie czytają".

21. IX. 1861.

„Codziennie przechodzą u nas kompanie do Częstochowy śpiewające hymny na cześć Marii, Witam ich i żegnam, proszę ich, żeby o lepszy byt Polski Boga błagali. Szkoda, że pieśni „Boże, coś Polskę" nie znają".

30. VI. 1862.

Przegląd prasy niemieckiej

HEUTE

W poprzednim numerze zamieściliśmy notatkę z tego samego pisma, porównującą w bezczelny sposób metody wysiedleńcze, stosowane wobec Niemców, z okropnościami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Dzisiaj podajemy głosy dyskusji, jakie pomieścił następny numer „Heute" ! Teksty zostały dobrane w ten sposób, że sam Goebbels nie postydziłby się propagandy, zamaskowanej w tych nieraz pozornie niewinnych wierszach i pomiędzy nimi.

München (strefa amerykańska).

SWOBODA WYPOWIADANIA MYŚLI

. . . Dobrze, można zająć i takie stanowisko: wszystko jest po prostu odpłatą i zemstą. Pięknie, to też jest punkt widzenia, który nawet można zrozumieć. Wtedy jednak proszę proszę łaskawie zostawić w spokoju wszelkie gadania o chrystianiźmie, humanitaryźmie i demokracji, a przyznać się otwarcie do starożytnej maksymy: oko za oko, ząb za ząb... Czy kara dotyczy tylko Niemców, jeżeli wykroczą przeciwko prawom człowieczeństwa, czy też istnieje zamiar pociągania ludzi do odpowiedzialności wszędzie, gdziekolwiek tylko prawa ludzkie bywają gwałtowne?... Dajcie na to jasnx odpowiedź, a ze zdziwieniem zobaczymy, jak chętnie pójdzie za wami znaczna większość narodu niemieckiego... Jeżeli w demokracji istnieje naprawdę swoboda wypowiadania swych myśli, powinniście właściwie te zdania w Waszym czasopiśmie opublikować.

Fritz Klar (Vilsbiburg).

PRZYZNAWANIE SIĘ DO BŁĘDÓW

Pańskie twierdzenia na temat winy Niemców nie są jasne i dość twarde... Bystry analityk, pozbawiony złudzeń, jakim był Niccolo Machiavelli, wypowiadając swój sąd na temat problemu uchodźców. stwierdziłby na pewno: Niemcy przegrały wojnę pod hasłem „Vae victis". Wszystko, co teraz ze strony zwycięskich państw zacznie się dziać, jest słuszne. Jeżeli zbyt wyraźnie będzie kolidowało z najprostszymi przykazaniami człowieczeństwa, należy przy pomocy propagandy przedsięwziąć próbę podania głupiemu narodowi bezrpawia jako prawo...

...Walczę od lat przeciwko nienawiści, jaka panuje pomiędzy Niemcami z Sudet. Daremnie. Czy tego jednak jako ludzie nie pojmujecie?... Czy możecie żądać świadomości wspólnej winy od prostego człowieka, który może na przeciąg paru miesięcy dał się skusić porywającej propagandzie politycznej, poza tym jednak miał tylko prawo zaręczonego na piśmie rozporządzania samym sobą i chodził za własnymi interesami... Nie jest nigdy za późno przyznawać się do błędów, a dumny naród może w każdym wypadku uznać, że w bezpośrednim następstwie straszliwej wojny zastosowano środki, które znajdują wytłumaczenie tylko w nienawiści i niewiedzy.

Dr Kurt Ludwig (Lauf/Pegnitz).

GDYBY NIE HITLER, NIE BYŁOBY PROBLEMU UCHODŹCÓW

Gdyby nie Hitler i wojna nazistowska, nie byłoby w całej Europie problemu uchodźców. Wszystkim, którzy noszą żałobę, nie wolno zapominać o tym fakcie, choćby to nawet było tych pięć procent uchodźców, którzy nie byli zwolennikami Hitlera. Ci niewinni są jedynymi ofiarami, wszyscy inni przez swe zachowanie w czasie od r. 1923 do 1945 stali się także powodem nieszczęścia.

P. Blach (Brema).

NIE CHODZI O TO, ŻE . . . ALE O TO, JAK . . .

Niejedno w liście p. Müllera jest wyznaniem duszy każdego uchodźcy. Niebezpiecznym wydaje mi się przecież nastawienie, które bezwątpienia powraca w pańskiej odpowiedzi: skłonność do matematycznego w pewnym sensie obrachunku okrucieństwa, cierpienia i winy. Mam nadzieję, że kary, w których wartość życia ludzkiego wyrażano cyframi, minęły. Każde życie ludzkie jest jednorazowe i niepowtarzalne... Nie chodzi tu w pierwszym rzędzie o to, że ci ludzie zostali wysiedleni, ale jak zostali wysiedleni...

GŁOS POLAKA

Na to, co dzisiaj rozgrywa się na Śląsku, patrzę jako na odpłatę za barbarzyństwa hitlerowskie 1939 r. w Poznańskiem. Polacy musieli w przeciągu trzydziestu minut spakować swój tobołek i byli ze swych zagród chłopskich wyganiani. Wielu z mego rodzeństwa musiało stracić życie, a jedna siostra dostała się do Oświęcimia... Chociaż brali udział w wojnie światowej i do domu wrócili jako kaleki, uchodzili za Polaków (Nationalpolen) i byli pozbawiani majxtku.

Ignatz Chudy (Trogen b. Hof).

CZESI POMAGALI

Każdy uchodźca ma swe własne przeżycia. Ja naprzykład przybyłem ze wschodu na zachód krytym wozem i mogę tylko zapewnić, że ze strony Czechów doznaliśmy tylko pomocy. Nie mogę tego samego i z czystym sumieniem powiedzieć o wszystkich Niemcach w Sudetach, do których przybyliśmy potem, a tutaj w Bawarii jest zgoła tak, że bez nacisku wojskowego w celu zapewnienia uchodźcom pomieszczeń i żywności nie byłoby wcale różowo. Nie wolno jednak o tym zapominać, co sami Niemcy robili z Niemcami, nie mówiąc już w ogóle o Żydach.

Wilh. Klose (Sulzbach-Rosenberg).

DIE ZUKUNFT

UNABHÄNGIGE ZEITSCHRIFT JUNGER MENSCHEN

JAHRGANG Nr. 10 REUTLINGEN DEN 1. OKTOBER 1946 NUMMER 30 Rpf

Reutlingen (str. amer.)

Ukazały się już obszerne sprawozdania z amerykańskich obozów szkoleniowych dla niemieckich jeńców wojennych w St. Kearney, Ft. Getty i Ft. Wetherill, nazwa jednak Fort Eustis pozostała dotąd w mniejszym lub większym stopniu nieznana.

Każdy wie, że przeprowadza się eksperymenty, że powodzenie lub niepowodzenie zależy od jakości prac przygotowawczych. Kształcone są podkomisje dla zestawiania planów naukowych i cały szereg długich konferncji pomiędzy amerykańskimi oficerami a niemieckimi jeńcami wojennymi, na których panuje prawdziwie demokratyczna atmosfera swoobdy wymiany myśli, prowadzi ostatecznie do celu. Kursy mają trwać po sześć(!) dni, mają obejmować odczyty, dyskusje i wyświetlanie filmów i mają być każdorazowo udostępnione 2.000 niemieckich jeńców wojennych. Istnieje tendencja, ażeby w odczytach tych były omawiane zarówno amerykańskie stosunki i instytucje, jak i niemiecka historia i międzynarodowe problemy, a to w celu dania biorącym udział możliwości porównywania i dla pobudzenia ich do zastanowienia się nad położeniem własnego narodu, oraz w celu rozbudzenia zrozumienia dla wielkich zagadnień ogólnoludzkich.

Nauka zaczęła się. 1.000 słuchaczy zbiera się każdego przed- i popołudnia w teatrze obozowym w celu wysłuchania wykładu. Podczas tych sześciu dni opracowuje się jedenaście różnych tematów. Po każdym wkładzie tworzy się małe grupy dyskusyjne, które w specjalnych klasach szkolnych mają w obecności amerykańskiego albo niemieckiego kierownika dyskusji prowadzić swobodną dyskusję na temat wysłuchanego wykładu. Ciężko jest zwłaszcza pierwszego dnia. Wielu bowiem dotąd nie zastanawiało się w ogóle nad politycznymi problemami. Ten i ów zgoła całkiem instynktownie zdradzał brak zaufania, ponieważ w całym tym przedsięwzięciu węszył próbę propagandowego „przeszkolenia", natomiast inni z trudnością mogli przyzwyczaić się do tego, ażeby w ogóle istniało coś takiego jak całkowita swoboda wypawiadania się. Starzy nierzadko próbowali zastawiać się swym „doświadczeniem", młodzi wiedzieli mało i z tego powodu zaledwie uczestniczyli w dyskusjach w obawie, by nie powiedzieć czegoś „fałszywego". A przecież jeśli prowadzący dyskusję potrafił przezwyciężyć przeszkody początkowego braku zaufania i rezygnacji, powstawały już następnego albo trzeciego dnia zapalczywe i podniecone dyskusje, w których każdy znajdował wielką radość. Oprócz wykładów bogaty program filmowy, który obejmuje takie filmy, jak „Abraham Linciln", „Amerykański romans", „Siódmy Krzyż" i inne. W codziennych omówieniach porannych poruszane są problemy osobiste, przy czym — jak dalece to jest możliwe — odpowiedzi na pytania, które dotąd były dla nich otwarte. Również wieczory wypełnia się. Biblioteka, koncerty z płyt gramofonowych i wyświetlanie filmów dają konieczne odprężenie, a w dobrze wyposażonej kantynie ma każdy możność nabycia towarów za 10 dolarów. 4 kwietnia 1946 zostały kursa w Fort Eustis zakończone. W sumie 24.000 niemieckich jeńców wojennych wzięło udział w 12 kursach.

(Z artyk. Hansa J. Wissmanna, zatytułowanego „Fort Eustis — eksperyment demokracji".)

EUGENIUSZ PAUKSZTA

W hołdzie patronowi Ziem Odzyskanych

Św. Wojciech przybywa do kraju Prusów. Płaskorzeźba na drzwiach katedry.

GNIEZNO, w maju 1947.

GNIEZNO w uroczysty dzień ostatniej niedzieli kwietnia stało się miejscem, gdzie wspólność odczucia ogarnęła całkowicie grubo ponad stutysięczną masę pielgrzymów do trumny św. Wojciecha. Wielki Męczennik za pojednanie ludzi i narodów jeszcze raz realizował swą misję skupienia serc człowieczych pod znamię wiary, miłości i poświęcenia. Symbolika postaci rycerza, mieszczanina, chłopa i kapłana, wspierających wspólnie trumnę z relikwiami, staje się szczególnie podniosłą i aktualną.

Gdy z pociągu, wiozącego do Mieszkowej siedziby akademików i harcerzy, rozlegała się ze wszystkich wagonów „Bogurodzica", gdy z jej końcowych Kyrieelejson hamować zaczęły koła na udekorowanej zielenią stacji, uroczyste podniecenie już od razu stawało się mimowoli udziałem uczestnika pielgrzymki.

Pierwsze wrażenia i spostrzeżenia: mrowie ludzkie i trzy zasadnicze kolory tych dni — żółty, biały, czerwony. I jeszcze czwarty, służący za tło — młoda zieleń rozwijających się drzew i krzewów.

Flag papieskich i narodowych jest rzeczywiście takie mnóstwo, że wiele domów jest przesłoniętych nimi całkowicie. Nie ma okna bez nalepionych chorągiewek żółto-białych i biało-czerwonych, nie ma dziecka bez podobnej chorągiewki w ręku. I kwiaty. Aż dziw, skąd kwiaciarnie gnieźnieńskie mogły ich tyle nastarczyć.

Wspaniała wyjątkowo jest też organizacja tych wielkich uroczystości, zaczynając od ścisłego przestrzegania rzadkiej u nas w Polsce punktualności. Program jest bogaty i urozmaicony. Samych wystaw jest kilka — wystawa „Przemysł, Rzemiosło i Handel", Wystawa Sztuk Plastycznych, Wystawa Prac Miejskich Szkół Zawodowych, Wystawa Książki. Niezależnie od tego cykle odczytów prehistorycznych, historycznych, przeprowadzanych przez Uniwersytet Poznański, specjalny program radiowy, Teatr Miejski z „Panem Damazym", „Roxy" i „Ślubami Panieńskimi", raid motocyklowy, balet z Bittnerówną i Kaplińskim.

Mówiąc o świeckiej części obchodów tegorocznych w Lechowej stolicy nie można pominąć tradycyjnych, od pokoleń już tu rok rocznie organizowanych, słynnych na całą Polskę, Wiosennych Targów Końskich. Mimo braku pogłowia końskiego i trudnych warunków komunikacyjnych, targi zgromadziły i w tym roku ponad 500 wspaniałych okazów, a sumy płacone premii dochodziły do tej samej liczby, tylko że już tysięcy. Atrakcją nielada jest możność wygrania wspaniałego rumaka z uprzężą w Loterii Końskiej, cieszącej się od pokoleń olbrzymim powodzeniem.

Oczywiście, trafiają się i zgrzyty. Przykrym echem odbił się fakt, nie wiem, bezczelności czy głupoty, że w ramach uroczystości związanych z 75-leciem gazowni miejskiej przy obowiązkowej libacji stoły, na które częstogęsto wylewała się wódka, posłane były... flagami narodowymi. Karygodny ten fakt powinien mieć daleko idące konsekwencje. O pewnych podstawowych kanonach chociażby przyzwoitości nie można zapominać. Barwy, na które się lała krew, nie mogą być zalewane wódką...

*

Gniezno, liczące ponad trzydzieści tysięcy mieszkańców, chlubi się aż dziewięciu kościołami. Mimo, że wiele z nich przedstawia wysoką wartość zabytkową i architektoniczną, jak kościół św. Jana Chrzciciela na Grzybowie z XIV wieku czy kościół św. Michała, przyćmiewa je świątynia na wzgórzu Lecha — katedra gnieźnieńska, zwana matką kościołów polskich. Różni się dzisiaj jej wygląd zewnętrzny od tak dobrze nam znanej sylwety z lat przedwojennych. Pożar w trakcie działań bojowych 1945 roku strawił dach, hełmy wyniosłe obu wież, część stalli i bezcenne organy. Część szkód już naprawiono, ale wieże tymczasem zakończone zostały prowizorycznie, bez dawnej strzelistości, organy, być może, w najbliższym czasie przybędą.

W każdym razie, są to zniszczenia, jakie można naprawić. O wiele smutniej się robi na widok dłutem warchoła powybijanych płaskorzeźb z wieków XII—XIV, wyszłych spod ręki Wita Stwosza, Giovanni Florentino, Blanchiniego z Wenecji i innych. Tej straty nie da się powetować.

Szczęśliwym trafem ocalały, przygotowane już do wywiezienia oddrzwia spiżowe, dar Krzywoustego z XII wieku, przedstawiające 18 scen z życia św. Wojciecha.

Pochód uroczysty przesuwa się środkiem, Fanfary. Dzwony kościelne. Ponad nie wybija dostojny spiżowy ton dzwonu św. Wojciecha, ocalałej pamiątki narodowej. Sztandary. Delegacje. Młodzież, starsi. Mężczyźni i kobiety. Napisy mówią o miejscowościach. Setki. Około kilkudziesięciu z Ziem Odzyskanych. Nie tylko z Ziemi Lubuskiej i Warmii. Także oba Śląski — Opolski i Dolny. Także i Szczecin. Św. Wojciech — patron Ziem Odzyskanych. Lud na nich o tym pamięta.

Poważnie kroczą kanonicy. Relikwie św. Wojciecha. W tej samej trumience z roku 1662, dzieła obywatela gdańskiego Piotra von de Rennen. Wędruje na dawne miejsce w katedrze. Tylko, że nie stanie już na słynnej Konfesji św. Wojciecha, rozbitej przez Niemców. Spocznie teraz na czasowym podium, potem powróci na główny ołtarz.

Przechodzą przedstawiciele Episkopatu Polskiego. 37 biskupów i dwóch kardynałów. Ich Eminencja Ks. Kard. Sapieha i Dostojny Prymas Hlond.

Razem kroczy trzech dostojnych gości. Trzech opatów czeskich, przybyłych do Gniezna z Czech specjalnie na uroczystości św. Wojciecha. Jeden z Pragi od Premonstratensów, dwóch od Benedyktynów z Emaus.

W katedrze uroczysta suma. Kazanie mocne, piękne, biskupa Świrskiego. O miłości i prawdzie, przeciwstawieniu kłamstwa i okrucieństwa. O idei i materii. O walce twardej i ostatecznym zwycięstwie prawdy. Na tym tle wyrasta olbrzymia ofiara poświęcenia i mocą miłości sylweta św. Wojciecha. Idea świętowojciechowa to idea walki z pogaństwem, w jego pierwotnej, jak wtedy, czy odradzającej się, jak dziś — formie. Idea świętowojciechowa zobowiązuje.

(Dziwnym było, że na placu i przylegających do bazyliki ulicach nie umieszczono większej liczby megafonów. Dwa istniejące nie mogły sprostać zadaniu i większość pielgrzymów nie mogła usłyszeć ani tych, ani innych, przez władze Kościoła w Polsce, wypowiadanych znamiennych słów.)

*

Żniwo zbierają kolporterzy prasy katolickiej. Ukazała się specjalna jednodniówka w typie dawnego „Przewodnika Katolickiego" i pod tą nazwą. Poza tym „Tygodnik Powszechny", „Dziś i Jutro", „Rycerz Niepokalanej" sprzedawany przez wydawców — OO. Franciszkanów. Największym jednak powodzeniem cieszy się „Słowo Powszechne", który to dziennik gnieźnieńskim uroczystościom poświęcił numer specjalny.

Spodziewać się należy, że zbierane ofiary na odbudowę bazyliki, przyniosą pokaźną sumę. Nikt bo przecie nie odmawia. A wieże obecne szpecą obraz świątyni i dawny wygląd należałoby przywrócić im jak najszybciej.

*

Zdarzały się i zabawne qui pro quo. Między pielgrzymów sprzedawane były po dosyć wysokiej cenie medaliki z podobizną św. Wojciecha. Ludziska — katolicy kupowali aż miło. Pamiątka przecie. Pod wieczór dopiero wyszło na jaw, że sprzedawali je metodyści...

Kalejdoskop gnieźnieński

Wieże katedry gnieźnieńskiej.

Nielada sensacją jest na wielką skalę zorganizowany Motocyklowy Zjazd Plakietowy pod hasłem „Do Grobu św. Wojciecha". Maszyny pędem przemykają przez jezdnię wśród licznie zgromadzonych na chodnikach widzów. Jakoś teraz bez defektów. Ale za to wieczorem, gdy wracałem autem do Poznania, towarzysze moi naliczyli po drodze ponad dwadzieścia tzw. „trupków". Różnie bo bywa na rajdach motocyklowych...

*

Powoli uroczystości zbliżają się ku końcowi. Godzina trzecia. Nieszpory polskie.

I wreszcie jeden z najbardziej podniosłych momentów tej wielkiej niedzieli. Ks. Prymas odmawia modlitwy do św. Wojciecha. Tłum powtarza za nim.

...„Św. Wojciechu, któryś w zaraniu narodu naszego utwierdzał go w wierze, uproś nam umiłowanie Prawdy Przedwiecznej"...

Mocnym, twardym echem niosą się w ulice i zaułki Leszkowego grodu te słowa modlitwy i ślubowania zarazem. Słońce oświetla w pełni tysiączne rzesze złączone w jedno tą wielką apostrofą do człowieka, który dał podkład najtrwalszy pod rozwój naszego narodu. Dał wiarę.

...„Św. Wojciechu, któryś życie oddał za wiarę św., uproś nam stałość i męstwo w wyznawaniu Chrystusa życiem całym"...

...„Św. Wojciechu, którego wstawiennictwu zawdzięczamy odzyskanie wolności, uproś Ojczyźnie naszej ducha jedności i zgody"...

Ze szczególną uwagą i westchnieniem gorącym powtarzają słowa te delegacje ludności autochtonicznej Śląska i Warmii. Ich patronem jest św. Wojciech, Jego błagają teraz o zgodę i pokój we wróconej po wiekach Polsce.

...„Przez zasługi św. Wojciecha, spraw, Boże, aby naród polski swych świętych posłannictw dopełnił"...

Polska pozostanie zawsze wierna idei Wielkiego Męczennika!

E. Paukszta

ANTONI NAWKA

Cudzymi piórami...

Cóż za bogactwo łużyckich motywów pisankowych.

Przypadkiem teraz dopiero wpadła mi w ręce pewna książka niemiecka wydana w roku 1937 w cyklu „Deutsches Ahnenerbe" (niemieckie dziedzictwo po przodkach), pt. „Bauernbrauch im Jahreslauf", mówiąca o dorocznych obyczajach chłopskich. Ciekawość moją jednak tłumiła swastyka, widniejąca na grzbiecie książki. Nieufność moja jest zrozumiała. Nie dość na tym, autor, niejaki Hans Strobel wybrał sobie jako motto słowa Heinricha Himmlera, sadysty nad sadystami: „Naród dopóty żyje szczęśliwie w teraźniejszości i przyszłości, dopóki świadom jest swej przeszłości i wielkości swych przodków!" Co znaczyła ta „świadomość przeszłości" — dobitnie dowodziły kreatury tego naczelnika SS i Gestapo. Auspicje, pod jakimi płodził swe dziełko p. Strobel, są więc zupełnie jasne. Wyraźna tendencja, bijąca już na wstępie w oczy, zniechęca właściwie do dalszego obejrzenia, nie mówiąc już o zagłębianiu się w wywody pisarza.

Ale coś mnie tknęło! Jakieś podświadome uczucie kazało mi zająć się tym elaboratem bliżej I nie zawiodłem się. Przeleciałem „po łebkach" stronice i zatrzymałem się na fotografiach, przedstawiających różne obyczaje z ziem państwowo-niemieckich. I cóż znalazłem ciekawego? Znalazłem między 55-cioma fotografiami aż 8 z Łużyc! I to w książce o niby niemieckim „Ahnenerbe"; więc 7 część wszystkich fotosów, to obrazy z życia serbskich Łużyc! Plagiat z kultury słowiańskiej! Czyż Rzesza niemiecka była tak biedna pod względem wyboru fotografii albo fotogeniczności swoich „urdeutsch" obyczajów, że czuła się zmuszoną wkraść na obcy teren? Albo może sądził pan Strobel, że go nikt nie złapie „in flagranti"? Są jednak ludzie, którzy się znają na rzeczy. Może bujać kogoś z zachodu — ale nas nie!

Z Łużyc znajdujemy w tej książce obrazy następujące: 1. „Żeński gwiazdor ze Siepeho" (Środkowa Łużyca), 2. procesja „Krzyżerjow" — wielkanocnych jeźdźców — z katolickiej części Łużycy Górnej, 3. czerpanie wody wielkanocnej w Slepom (Środkowa Łużyca), 4. malowanie pisanek (Środkowa Łużyca), 5. pisanki łużyckie, 6. wręczenie chrzestnemu dziecku kołacza wielkanocnego, 7. obyczaje z prządki w Dolnej Łużycy, 8. prządka w Dolnej Łużycy.

Kto by teraz jakichś bliższych wyjaśnień szukał co do geograficznego rozmieszczenia zobrazowanych obyczajów, znalazłby tylko niemieckie nazwy „Ober-" albo „Niederlausitz" — jakiś „Kreis Hoyerswerda", czy „Sachsen", albo „Schlesien" a nic o słowiańskich Łużycach, o Łużycach, jako narodzie słowiańskim, który pielęgnuje jeszcze do dziś dnia swoje obyczaje.

Zapytany wprost, dlaczego ozdobił swój niemiecki „Ahnenerbe" obyczajami słowiańskiego narodu — autor zapewne nie wiedziałby co odpowiedzieć — i wykręcałby się mruczeniem: „...da schweigt des Sängers Höflichkeit" (tu milczy barda grzeczność).

Ponieważ lubię bawić się akrobatyką liczb, stawiam następujące równanie:

W Niemczech jest 66 milionów obywateli.

Na 66 milionów wypada 55 fotografii.

Pytanie: Ile milionów wypadnie więc na osiem fotografii?

Odpowiedź: 9 i pół miliona!

Taką więc siłę stanowią Łużyczanie w świetle etnografii niemieckiej.

Ale ponieważ nie ma tylu Łużyczan — dajmy na to, iż jest ich pół miliona — to wartość i bogactwo ich folkloru przewyższa aż 19 razy twórczą żywotność ludową niemiecką!

Mają się czym szczycić Łużyczanie — a Niemcy — czego się wstydzić, fe! Cudzymi piórami się stroić, braciszki niemiaszki, to nie ładnie — i nie przynosi uznania ni zaszczytu.

„Krziżerjo" na Łużycach. Wielkanocny zwyczaj objeżdżania konno pól.

Łużyczanka ze Ślepego przy czerpaniu wody.

Notatki czeskie

ANTOLOGIA LIRYKI POLSKIEJ Z LAT 1938 — 1945, zatytułowana „POCHODNIE", wyszła po czesku w Pradze nakładem zasłużonej firmy wydawniczej Fr. Borovy. Antologię wstępem poprzedził K. KREJCZI, wyboru i przekładu dokonał JAN PILAR. Antologia zawiera wiersze poetów polskich z wymienionego okresu, wyrażające zarówno przeczucia i zapowiedzi zbliżającej się wojny, jak i ilustrujące nastroje i uczucia narodu w okresie okupacji i walki. Liczy ona stron 108. Okazuje się, że Czesi zdobyli się wcześniej od nas na wydanie naszej liryki wojennej, którą u nas reprezentuje tylko powielaczowa edycja Kazimierza Wyki z r. 1945.

„PRZEKRÓJ POEZJI I PROZY CZESKIEJ PO R. 1918" — taki tytuł nosi niewielka praca krytyczna J. B. CZAPKA, wydana ostatnio i zawierająca na 60 stronach zarys literatury czeskiej w okresie międzywojennym. Przeznaczony on jest przede wszystkim dla czytelników zagranicznych i stąd główny nacisk położony jest na ścisłą, zwięzłą informację. Przekład polski tej niewielkiej książeczki byłby niewątpliwie pożyteczny.

PRASA CZESKA PORUSZA od czasu do czasu sprawę pewnego rodzaju kryzysu kulturalnego, wynikającego z ogólnego zubożenia społeczeństwa w porównaniu z okresem okupacji. Teatr czeski, który cierpi podobnie jak teatr polski na brak nowych sztuk i podobnie jak nasz teatr posługuje się repertuarem retrospektywnym („brodatym", jak dowcipkuje „Tvorba"), odczuwa słabą frekwencję, tak samo mały jest pokup na książki, które są drogie. Jak widać mamy wspólne z Czechami kłopoty kulturalne.

INSTYTUT SŁOWIAŃSKI W PRADZE wydał trzeci tom pracy profesora uniwersytetu praskiego MARIANA SZYJKOWSKIEGO „POLSKI UDZIAŁ W CZESKIM ODRODZENIU NARODOWYM". Tom ten obejmuje okres romantyzmu. Przełożony został na czeski przez dr. Józefa Beckę.

TEATR VINOHRADSKI WYSTAWIŁ SZTUKĘ zmarłego niedawno autora Franciszka Werfla pt. „Jakubowski i pułkownik". Tematem sztuki są losy polskiego pułkownika, uchodźcy Żyda i Francuzki w okresie ostatniej wojny. Polski przekład tej sztuki zaczął drukować krakowski „Przekrój".

W ZWIĄZKU Z CENNĄ ROZPRAWĄ słowackiego slawisty dr. Rudolfa Brtania „Powstanie, rozwój i wersje rozprawy Kollara o słowiańskiej wzajemności", gdzie autor ustala genezę, źródła i wersje tej książki, warto zwrócić uwagę, że jednym z jej propagatorów w Polsce był Józef Lompa. Jego rozprawa „O wzajemności Słowian", będąca przeróbką dzieła słowackiego autora, zachowała się fragmentarycznie w rękopisie.

BRONISŁAW KAMIŃSKI

Migawki paryskie

Żaden pisarz nie pisze prawdy, nie rysuje rzeczy, takimi jakimi one w istocie są, lecz dzieło jego, to załamanie się zjawisk w jego widzeniu i literackie odtworzenie tego widzenia. Nie o prawdę więc chodzi, ale o prawdziwość tego pisarskiego widzenia. Paryż, który opisuję jest moim Paryżem. Patrzycie na niego czytelnicy moimi oczami. Oto gdy przechodzę pod Łukiem Tryumfalnym i spoglądam w dół w szerokie ramię Pól Elizejskich, aby zatrzymać źrenice na ogrodzie przed Louvrem, niebo wydaje mi się tak dziwnie podobne do nieba z obrazu impresionistycznego. Zatracam poczucie rzeczywistości... Gdzieindziej nad kanałem Sekwany, opodal placu Bastylii, na spokojnej ciemnej wodzie stoją kolorowe barki, tratwy i statki a w dali przecina widzenie most dla pieszych, najwyraźniej czuję, jakbym znajdował się w obrazie Van Gogha i tak powoli pogrążam się w wizję.

Społeczeństwo obok udogodnień koniecznych dla normalnego współżycia między ludźmi stworzyło szereg instytucji zbytkownych, które służą dla wyżycia estetycznego lub zaspokojenia ambicji i próżności ludzkiej. Jedną z takich instytucji jest Akademia Francuska i inne, jakich w Paryżu jest kilka. Każdy członek Akademii Francuskiej ma tytuł nieśmiertelnego, bowiem tylko zasługujący na nieśmiertelną sławę mogą przywdziać tradycyjny frak akademicki. Ostatnio odbyło się przyjęcie do Akademii Marcela Pagnol, dramaturga, autora licznych scenariuszy i znanego specjalisty filmowego. Jest to pierwszy człowiek filmu, który przestąpił próg tak ostrożnej instytucji jak Akademia. Film już dawno stał się sztuką, zwłaszcza we Francji, której filmy świadczą same za siebie a przywdzianie munduru akademickiego przez Marcela Pagnol dowodzi o zrozumieniu ważności artystycznego filmu nietylko przez młodą krytykę, ale przez spóźniających się zwykle nieśmiertelnych. Bowiem w krainie nieśmiertelności zjawiska trwają o wiele dłużej i zmieniają się niezmiernie rzadko.

Parę dni temu na ekran puszczono pierwszy kolorowy film produkcji francuskiej. Tytuł jego brzmi „Le Cocu Magnifique" Scenariusz oparty na sztuce Crommelyncka. Role główne grają Jean Louis Barrault i Maria Mauban, a więc jedni z najlepszych aktorów jakimi Francja może się poszczycić. Sztuka ta jest uderzająco piękna i silna.

Film, poza wybitnymi walorami czysto artystycznymi, ma wiele uroków, nawet licznego rodzaju. Można się bawić publicznością, która po ujrzeniu pięknej nagiej piersi bohaterki filmu, niknącej po paru sekundach krzyczy: Jeszcze! Jeszcze! Dopominają się napróżno, naga pierś nie ukazuje się więcej i sala znowu zastyga w ciszy. Ale pomijając takie drobiazgi, stwierdzić trzeba, że film jest naprawdę szczytowym osiągnięciem produkcji francuskiej. Niektórzy amatorzy, nietylko zostają na dwuch seansach, ale nachodzą kina, wyświetlające ten film kilkakrotnie.

Jean Cocteau jest zawsze otoczony sensacją i niesłabnącą reklamą. Obecnie w jednej z księgarń sekretarz jego urządził wystawę obrusów restauracyjnych, na których jadał mistrz i jego przygodni towarzysze, zwykle o sławnych, nieledwie historycznych nazwiskach, jak Eluard, Georges Hugnet, Giagometti, Picasso, Queneau, Lise Deharme a nawet Paul Valery. Na jednym z papierowych obrusów któryś z tych, sławnych w całym świecie ludzi wypisał kilka takich zdań:

Breton = Le Sartre Péladan
Prévert = gruźlica kości.
Picasso = sprzedawca okropności

Wszystkie te papierowe obrusy pochodzą z księgarni prowadzonej przez surréalistę Georges Hugnet. Wiele z cennych autografów zaginęło w czasie wojny, ale jak widzimy niektóre zachowały się jako curiosité dla potomności.

Lydia Bastien przyjaciółka znanego kollaboracjonisty Hardjego, którego proces niedawno poruszył całą Francję, okazała się interesującą poetką, przynajmniej dla tych, którzy ją lansują. Poematy jej zaczynają się pojawiać w poważnych pismach o wydawcy czynią obiecujące oferty. Jest ona gorącą wielbicielką pewnego poety, byłego zakonnika E. de Gegenbacha, który porzucił klasztor dla surrealizmu, poczem znów powrócił w mury benedyktyńskie aby je wkrótce po raz drugi opuścić, pociągany awanturniczym życiem artysty. Ten niespokojny poeta, prosząc Edwige Feuillère o przyjęcie go w swoim gabinecie, napisał list tej treści:

„Proszę panią o przyjęcie pewnej osoby, najbardziej interesującej i malowniczej z naszej epoki, jestem pewny, że będzie mi pani dziękowała, za możność poznania E. de Gegenbacha"

Jeśli Lydia Bastien grzeszy takim samym brakiem krytycyzmu i zanikiem poczucia humoru jak jej „ideał", to należy przewidywać szybki koniec jej karjery poetyckiej.

Paryżanie szczycą się swoim niebem i niejednokrotnie nazywają je: „le plus beau du monde". Rzeczywiście niebo paryskie jest zmienne i łagodne. Niebo paryskie ma bujną florę i faunę obłoków. To nie jest bezkrwisty błękit południa. Niebo przydaje Paryżowi barwy i soczystości. Czarne budowle pałaców wpływają w nie jak wielkie okręty. Plamy drzew, sklepów i ludzi formują obraz, w którym się przepada. Słusznie Paryż jest stolicą malarzy.

Bronisław Kamiński

GUSTAW MORCINEK

Zagubione klucze

Fragment powieści

Morze było szare i złe.

Żegota ujrzał je we wspomnieniu, gdy stanął w otwartym oknie i zapatrzył się na miasto. Po niebie leciały znowu niskie, pękate, deszczem opęczniałe chmury, w kącie ogrodu szamotały się z wichrem obmokłe topole, a skroś wichru dochodził zbełtany krzyk miasta. Wynurzało się z niego rytmiczne skandowanie jakichś zabawnych słów w języku flamandzkim. W sąsiednim ogrodzie bowiem stała obszerna altana, w altanie zaś bawiły się dzieci. Jedna z dziewczynek ciskała tamte słowa równo, monotonnie, wysokim, piskliwym głosem. Reszta dzieci podejmowała je czasem chóralnie, powtarzała staccato, po czym milkła, a wtedy cienki, świdrujący, piskliwy dyszkant dziewczyny znowu wpadał w szum wichru. Głos jej był suchy, niemiły, podobny do krzyku turkawki.

Głos ów drażnił Żegotę. Przypominał mu bowiem jakieś niemiłe przeżycie z obozu. Nie potrafił sobie uświadomić, jakie; wiedział tylko, że wywoływało w nim odrazę.

Rozglądnął się po izbie i już sobie przypomniał.

Oto w wilgotnej piwnicy siedzą więźniowie za stołami, nisko nachyleni i cerują skarpetki. Między ławami przechadza się kapo bez lewego ramienia. Pusty rękaw przypiął agrafką do marynarki. Przechodzi powoli od więźnia do więźnia, patrzy na jego pracę złymi oczami, czasem uderzy kogoś dłonią po czubku głowy i idzie ku następnemu. Powietrze w pończoszarni jest duszne i cuchnące. Pod ścianami leżą kupy skarpetek, obok drzwi zaś stary więzień obozowy sortuje brudną, cuchnącą bieliznę i upycha w worki. Poza drewnianą ścianą terkocze rytmicznie jakaś maszyna. Jej głos był suchy, drewniany, wybijający bolesny rytm, a koło rytmu oplatał się zwierzęcy lęk przed śmiercią, przed głodem i przed biciem, nasycał się kwaśnym smrodem przepoconych skarpetek i przybierał kształt twardych, nienawistnych oczu kapa.

Piskliwe skandowanie flamandzkich słów w altanie przypomniało Żegocie rytmiczny klekot maszyny za drewnianą ścianą pończoszarni.

„Siedzieli długo za murami miasta..."

Rozejrzał się po pokoju.

Na kominku tajemniczy zegar tyka głośno i dźwięcznie.

Czuł się osamotniony w nowym otoczeniu i dlatego chętnie wracał do siebie, by pod wdzięczny, uciszający takt tamtego zabawnego zegara czytać opornego Bernanosa, snuć szare myśli i wracać do przeszłości.

Z zadowoleniem spostrzegał, że wspomnienia obozowe tracą stopniowo na wyrazistości, że się zacierają nieznacznie, powlekają szarym nalotem, że nieraz z wysiłkiem musi przywołać w wspomnienie jakąś scenę z tamtego życia. A równocześnie wspomnienia wspólnych przeżyć w towarzystwie Hanki stają się coraz błękitniejsze i pastelowe.

— To dobrze!... To dobrze!... — powtarzał z ulgą...

Przypadek zrządził, że Żegota spotkał się z Hanką we Włoszech. Przyjechał z Francji do Rzymu, zaproszony tam przez swego przyjaciela sprzed wojny. Jego przyjaciel, porucznik Zawadzki, został przeniesiony z Rzymu do miasteczka na górze. Żegota również z nim pojechał i tam spotkał Hankę. W pierwszej chwili nie mógł jej poznać. Ona go poznała

— Żegota! — zawołała uradowana, schodząc stromą uliczką. Żegota szedł pod górę zamyślony.

— To ja, Hanka!

— Hanka! Chryste Boże! — uradował się szczerze.

Siedzieli długo za murami miasta pod czołgiem z wysterkującą lufą armatnią, zapatrzeni w jakiś biblijny krajobraz pofalowany, z winnicami i z oliwnymi gajami, z niebieszczącym się morzem na widnokręgu, w zachodzącym słońcu za sobą. Żegota opowiadał o sobie, Hanka słuchała.

— Jak bardzo się raduję, że żyjesz! — rzekła potem i popatrzyła mu w oczy.

— I ja raduję się, że żyjesz, Haneczko!

— To już nie jest życie.

— Nie rozumiem!

Wskazała milcząco na swą prawą nogę.

— Chodźmy już. Opowiem ci o sobie innym razem...

Potem przyjechał pułkownik i major z miasteczka nad morzem i zabrali Hankę z sobą. Potem jeszcze Hanka napisała list do Żegoty:

„... jesteś wolny i niczym nie krępowany, więc przyjedź do naszego miasteczka. Będziemy razem, jak ongiś, gdy jeszcze byliśmy dziećmi. Pamiętasz, jak to razem poszliśmy szukać drogi do nieba?... Ty mnie prowadziłeś za rękę, a potem spaliśmy na sianie wśród pijanych gości na jakimś wiejskim weselu. Przyjedź więc, może nam się uda znaleźć nareszcie ową drogę do nieba! Mówiłam już o Tobie z pułkownikiem i z majorem. Będziesz gościem naszego pułku. Pakuj więc swoje pielgrzymie manatki i przyjeżdżaj! Hanka."

Żegota pojechał więc do miasteczka nad morzem.

Hanka była trawiona niepokojem. Jej rozmowy z Żegotą i z majorem były pełne bolesnego i upartego dociekania istoty zła i dobra i szukania sensu życia i cierpienia. Rozmowy te wypełniały wieczory do później nocy. Potem rozchodzili się do swych pokoi z przykrym uczuciem jakiegoś moralnego niedosytu.

Dzisiejszy wieczór był również jednym z tych wieczorów „poszukiwaczy Boga", jak to określał pułkownik. Hanka wszystkie wywody majora przyjmowała ze sceptycznym uśmiechem i uparcie powtarzała, że jej nie przekona.

— Ludzie są źli z urodzenia — powtarzała z uporem. — A jeżeli nie są źli świadomie, to są predestynowani do zła. W każdym człowieku drzemie bestia czy zgoła szatan na dnie jego świadomości. Tego szatana widziałam podczas wojny w całej jego grozie i ohydzie. Napatrzyłam mu się do syta w ślepie. Poraził mnie swym objawieniem się w płonącej Warszawie i stąd może jestem taka, jaka jestem... Niech mi pan major nie bierze tego za złe, lecz ja się nie zgadzam, ja nie mogę się zgodzić z tym, co pan major mi głosi. Ja nie mogę przebaczyć doznanej krzywdy... Nie mogę, nie mogę!...

I kiedy teraz major pokazał różaniec w odpowiedzi na pytanie pułkownika, czym ucisza swój niepokój, znowu ogarnęła jej serce ruda pożoga żalu i goryczy.

— Pozwólcie, że ja wam o sobie opowiem! — rzekła twardym głosem.

Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni.

Widzą, że Hanczyne oczy poszarzały, a przymrużone powieki podkreśliły jeszcze mocniej ich lekko skośną linię. Powiało od niej chłodem i obcością. Jakby to nie była ta sama Hanka. Przemienia się w tej chwili w człowieka, który zdobywa się na jakiś desperacki czyn, graniczący ze śmiercią. Widać, jak dojrzewa w niej postanowienie, a słowa w nim zrodzone będą twarde, jak jej oczy.

— Prosimy — rzekł za wszystkich pułkownik i rozsiadł się wygodniej w wyliniałym fotelu. Ujął szklankę z winem, podniósł pod światło, przez chwilę patrzył w jego rubinowe błyski, potem postawił na stole i rzekł ponownie:

— Więc powiedz nam, Fatimo!...

— Byłam młoda i piękna — zaczęła, skandując sucho swe słowa. — Nie zaznałam nigdy ani głodu, ani nędzy, ani ludzkiego zła. Czasem tylko zazdrościłam siostrze, że jest piękniejsza, aniżeli ja i że... że ją kocha ten chłopiec, w którym ja się tak głupio zadurzyłam. Lecz to było bardzo dawno. Byłam po egzaminie licealnym, miałam pójść na medycynę, kiedy wybuchła wojna. To było w Warszawie. Warszawa broniła się. Potrzebnie czy niepotrzebnie, tego nie wiem. Wiem tylko, że granaty leciały i leciały na miasto, że ludzie ginęli, że radio krzyczało i nawoływało do wytrwania, że w końcu brakowało wody, żywności, że to wszystko było straszne. W ostatnim dniu przed kapitulacją padł granat na nasz dom przy Wiejskiej, przebił dach, zabił matkę, a odłamek ranił mnie w nogę. Ojciec i siostra byli wtedy nieobecni. Ocuciłam się w szpitalu. Byłam już po operacji. I po trzech miesiącach przyszłam do domu kulawa!... Czy możecie sobie wyobrazić, ja młoda, kiedy przede mną zaczyna się życie roztwierać, a zostałam kulawa!... Wprawdzie ja rozumiem, że można żyć i życie kochać, gdy się jest kulawym. Lecz to kalectwo posiadało dla mnie inne znaczenie. To była dla mnie przegrana na całe życie. Ja przecież byłam młoda, ja chciałam tańczyć, ja chciałam grać w tennis, ja chciałam żyć, jak żyje człowiek młody, radosny!... Moi rodzice byli religijni. Ja przejęłam od nich ową religijność. Lecz to była religia płytka, jakaś faryzejska. Chodziłam do kościoła, bo tak wypadało, bo zresztą byłam zmuszona jako uczenica liceum czy gimnazjum. Gdybym nawet nie była zmuszana, także bym chodziła, bo taki był zwyczaj u nas, bo to robiło dobre wrażenie u innych, bo w ten sposób uciszało się sumienie. To był jakiś handlarski stosunek do Boga. Ja zmówię tyle a tyle pacierzy, pójdę do kościoła tyle a tyle razy, a Ty, Panie Boże, Ty mi dasz za to dobrą notę w świadectwie, zdrowie, uchronisz mnie przed złym człowiekiem, przed złodziejem, przed psem. To była więc religijność faryzejska, zakłamana, głupia, egoistyczna, mdły napar z lipowego kwiatu!...

— Zbyt ostro osądzasz siebie, Haneczko! — przerwał jej major.

Dziewczyna machnęła dłonią lekceważąco.

— Mów, Haneczko, to ciekawe! — zachęcił ją pułkownik.

— Nie mówię tego dlatego, iż to ciekawe, lecz że ja muszę nareszcie wypowiedzieć się z tego, co mnie boli. Wy wszyscy patrzycie na mnie, jak na jakieś skrzywdzone kurczątko, które trzeba przygarnąć jak pod skrzydła kwoczki, nakarmić, ochuchać i strzec przed wszelkim złem. A wy nie wiecie, że ja się buntuję! Tak! Buntuję się za tę cieplarnianą atmosferę, w którą mnie przenieśliście, za to traktowanie mnie naprawdę jak jaki fetysz czy jak ową błazeńską maskotkę pułkową, stworzoną przez was z nudów i z pragnienia wypełniania tej pustki, w której wszyscy tkwicie, a której się lękacie. Jest w tym jakieś kabotyństwo, niemądre małpowanie Szkotów z ich kozłem pułkowym...

— Hanka, Hanka! — mruknął pułkownik nachmurzony. — Za dużo wina piłaś!...

— Nie piłam. Ja przepraszam was wszystkich, i pana pułkownika i pana majora. Żegoty nie mam za co przepraszać. Tylko że i wy mnie krzywdzicie!...

— Ależ dziewczyno! Kto cię krzywdzi? — zdumiał się poczciwy major.

— Kto cię krzywdzi? — wrzasnął wzburzony pułkownik, zerwał się i zacisnął pięści. — Wpakuję cholerę na tydzień do ciemnicy, pasy będą drzeć z niego, łeb mu zetnę!... — grzmiał, wodząc srogim wzrokiem dokoła. Potem dostrzegł Żegotę, siedzącego spokojnie za stołem.

— Pan może? — zwrócił się do niego. mierząc weń palcem.

— Niech się pan pułkownik uspokoi! — rzekł flegmatycznie Żegota.

— A mówiłem, żeby tyle wina nie pić! — dorzucił z wymówką major.

Pułkownik już się uspokoił. Usiadł znowu w fotelu, chwilkę patrzył na Hankę, potem stuknął się palcem w czoło i mruknął: — Głupiś!... My musimy Hankę wyswatać! No, ale mów dalej, nieznośna dziewczyno, tylko już nam nie urągaj. My do ciebie z chlebem, a ty na nas kamieniem, czy jak to tam jest w Piśmie świętym... Eh, dajcie mi święty spokój!... Mów, Haneczko, mów! I nawet możesz urągać. Tobie wszystko wolno. Chociaż to trochę boli... Panie Żegota, gdzie wino do cholery!...

— Pan pułkownik już jest pijany! — zauważyła Hanka.

Pułkownik popatrzył na nią, zamrugał śmiesznie powiekami i westchnął.

— Ha, jeżeli Hanka powiada, że pułkownik jest pijany, to nie dawaj wina!...

„Uciekłam do domu, zamknęłam się i płakałam."

— Haneczko, proszę cię, mów dalej! — zwrócił się do niej major.

— Mów, Haneczko! — poparł go Żegota.

Hanka spojrzała na niego, skłoniła głowę jakby w pokorze, uśmiechnęła się nieznacznie. Żegota pomyślał, że chyba w taki sposób pozowały modelki renesansowym malarzom do ich „Zwiastowań". Wyczuł pragnienie, by wstać, podejść do niej, przygarnąć do piersi i uciszać ją miłosnymi słowy.

— Pan pułkownik przebaczy, i pan major także, że się uniosłam... To nerwy...

— Dobrze już dobrze! — mruczał udobruchany pułkownik. — Ale zobaczysz, ty utrapieńcze, że zanim wyjedziemy do Anglii, to cię wyswatamy!... A potem cały pułk będzie ojcem chrzestnym tego maleństwa, które urodzisz!... No już dobrze, dobrze. nie chmurz się, dziewczyno. Jak to więc było dalej? Mów!...

— A więc to było tak. Jak w bajce o sierotce Maryśce — zaczęła znowu Hanka. — Wyszłam więc ze szpitala z krzywą nogą. Byłam złamana. Ojciec rozpaczał, siostra również, lecz u niej dostrzegałam chwilami jakby podświadome zadowolenie, że pozbyła się rywalki. A może ja bym wyczuwała takie same podświadome zadowolenie, gdyby się to siostrze przytrafiło. Ja nie wiem. I być może, że to, co ja bym przeżywała, jej przypisywałam. Ale mniejsza z tym. Zostałam więc kaleką. Chciałam się w swej rozpaczy modlić, a spostrzegłam, że modlić się nie umiem. Widziałam zresztą, że mi tutaj modlitwa nic nie pomoże, że nie wymodlę takiego cudu, którym byłoby pozbycie się kalectwa. Stępiałam więc, niczym się nie interesowałam, myślałam o śmierci. Nawet nie zdołałam pojąć i zrozumieć straty matki. Tymczasem ojciec, ten mój dobry, zacny ojciec szukał gdzieindziej pomocy. Dowiedział się o jakimś sławnym chirurgu z Poznania, który schronił się w Warszawie. Odszukał go, poszedł do niego i wszystko omówił. Wrócił do domu uszczęśliwiony. Zaraził mnie swoją wiarą. Widzę go w tej chwili, jak wchodzi do mego pokoju, jak dygoce ze wzruszenia, jak podbiega do mnie i woła, że będę zdrowa, że będę znowu zdrowa. Nazajutrz poszłam do kliniki. Lecz zanim poszłam, po pierwszy raz w życiu zaczęłam się modlić. Boże, jak ja się modliłam!... To nie była modlitwa, to było wadzenie się z Bogiem, jakiś ogromny krzyk, dobijanie się pięściami do Niego, wołanie rozpaczliwe. — Jeżeli jesteś Boże na niebie, uzdrów mnie! — szeptałam i szeptałam, a w każde słowo wkładałam te wszystkie swoje radości dziewczęce i te wszystkie żale, i lęk, i przerażenie, i wiarę. Wszystko. Modliłam się jeszcze wtedy, gdy już leżałam na stole operacyjnym i gdy mnie usypiano. Pamiętam, że jeszcze szeptałam tamte słowa: — O Boże, jeżeli jesteś na niebie!... — zanim straciłam przytomność. A potem...

Urwała, nastała cisza.

Za oknami morze szumiało donośnie, przemieniało się w głuchy, jednostajny grzmot. Już było po północy, słowiki ucichły, bo od morza leciał teraz wicher i potrząsał gwałtownie platanami w ogrodzie. Platany krzyczały jednostajnym, wilgotnym szelestem, skrzypiały i mocowały się z wichrem, jak człowiek mocuje się z człowiekiem.

— I co dalej? — zapytał cicho Żegota.

— I co dalej?... Obudziłam się w białym łóżku szpitalnym, z nogą w gipsie, słaba i jakby oszołomiona. Obok mnie na kołdrze ujrzałam rakietę tenisową i sukienkę sportową. Taką białą sukienkę, o której zawsze marzyłam. A Ojciec siedział przy mnie nachylony i płakał. Powiedział mi, że operacja się udała, że będę znowu znowu zdrowa, że mi przyniósł rakietę tennisową i sukienkę, że będzie wszystko dobrze!... I znowu się modliłam. Teraz dziękowałam Bogu... I nic. Za kilka dni prześwietlono moją nogę, zrobiono zdjęcie, wywołano, a gdy nazajutrz przyszedł ów lekarz, który mnie operował, zakonnica podała mu zdjęcie. Lekarz podniósł je pod światło i długo patrzał. Wiedziałam, że czyta na nim wyrok. I znowu się modliłam... A on patrzał, a potem powiedział tylko jedno słowo „Nie!..." i zdjęcie wypuścił z dłoni na podłogę. I już wszystko wiedziałam!... Bluźniłam Bogu, ciskałam przekleństwa, krzyczałam, chciałam przez okno na bruk wyskoczyć, a potem powoli, bardzo powoli uspokoiłam się. Chodziłam o kuli. Potem kulę odrzuciłam i chodziłam, jak teraz chodzę. Jak koszlawa kaczka!... Tymczasem wojna trwała. Siostra poszła do konspiracji. Ja także z nią poszłam. Jestem w biurze u jej szefa i zgłaszam się, że pragnę pracować. A on patrzy na mnie i nic. Był to młody człowiek o jakichś fanatycznych, dużych, płonących oczach, chudy, z czarną czupryną. Potem mi tak powiada: — Pani nie może pracować w konspiracji, bo pani jest... kulawa!... Każdy by panią poznał!... Uciekłam do domu, zamknęłam się i płakałam. Przecież to było dla mnie straszne. Nie mogę pracować w konspiracji, bo jestem kulawa!... Każdy by mnie poznał!... To było przecież straszne!... Na kilka dni przed wybuchem powstania odprowadziłam siostrę do jej biura. Szef był sam. Wybuch powstania czuło się w tym niepokoju, który wszystkich ogarniał. Szef był zdenerwowany. Wysłał siostrę z papierami do jakiegoś zakonspirowanego miejsca. Pozostały jeszcze inne papiery czy rozkazy. Miały być natychmiast doręczone, a łączników nie było. Powiedziałam, że ja pójdę z nimi. Szef spojrzał na mnie, na moją nogę, chwilę się namyślał a potem rzekł: — Niech pani bierze i zaniesie, tam a tam... Hasło takie i takie!... Lecz widziałam, że nie wierzy, iż dojdę z nimi na miejsce. Poszłam. Dotarłam na Królewską, gdy widzę, że Niemcy urządzają obławę. Zamknęli ulice, wystawili karabiny maszynowe i teraz wszystkich rewidują... A ja mam pod bluzką tamte papiery!... Panowie rozumieją, co się ze mną działo!... Doszłam, jak w śnie, do łańcucha posterunków!... Żołnierz niemiecki spojrzał na mnie i machnął niedbale dłonią, by przejść. Puścił mnie, bo byłam... kulawa!... Czy to panowie rozumieją? Puścił mnie, bo byłam kulawa!... A potem?... Potem było powstanie!... Tu już nikt nie patrzył, czy jestem kulawa, lecz czy umiem mordować Niemców!... Czyniłam to z jakąś piekielną radością!... Wysyłali mnie na najniebezpieczniejsze, prawie już stracone pozycje. Szłam i wracałam zmęczona, lecz jakby pijana ową krwią... Po prostu mściłam się, opętana pragnieniem krwi, jak furia!... Mściłam się za swoje kalectwo, za tamto zło niemieckie, za wszystko, co było krzywdą człowieka... A dzisiaj?...

Tu się załamała, zakrztusiła słowami.

Żegota wstał i podszedł do niej. Podniósł ją z krzesła i przytulił do siebie. Dziewczyna oparła głowę na jego piersi, zakryła oczy i zaczęła płakać.

Pułkownik nalał sobie wina i wypił. Potem drugą szklankę. A potem bąkając coś na usprawiedliwienie, że już trzecia godzina nad ranem, wyszedł. Za nim major.

Na szarym niebie rozpalał się świt, a morze już teraz ryczało i ciskało się spienione o brzeg.

Gustaw Morcinek.

JAN BARANOWICZ

TĘSKNOTA

Moja żona tęskni za wróblami,
co siadały na oknianym ruszcie
i w szkło zmarzłe pukały dzióbkami,
gwarząc: — kruszyn prosimy, otwórzcie".

Już ku oknu niósł ją luby zwyczaj.
Już się złocił jagły sypki piasek: —
„Ty za wazon — szeptała — się przyczaj,
badacz wróblich flirtów i niesnasek.

Gdy — bywało — storą dzień przygaszę,
lub na miasto gna mnie trud uwzięty —
jakiż protest na okiennej blasze
nadąsane czyniły natręty.

W huku armat świergot ptaszy zamilkł.
W oddaleniu nogi brną w śnieg grząski.
Moja żona tęskni za wróblami
ponad Śląskiem, nad krwawiącym Śląskiem.

1940

TADEUSZ KWIATKOWSKI

Portrety i portreciki

Część druga

KILKUDZIESIĘCIU literatów Związku zwróciło się do mnie z pretensjami, że nie wspomniałem nic o nich w swoim felietonie w „Odrze" z dnia 23 lutego br. Jedni utrzymywali, że są równie ważni jak i tamci, inni, że kierowałem się tylko osobistymi sympatiami w wyborze portretowanych. Trudna jest praca felietonisty. Jednych się zraża, gdy się o nich pisze, drugich się obraża, gdy się o nich milczy. Nie wiadomo jak tu wszystkim dogodzić. Najlepiej by było pisać o wszystkich według porządku alfabetycznego. Tylko, że w Związku figuruje stukilkunastu członków zwyczajnych i kilkudziesięciu nadzwyczajnych. Różnica między nimi jest taka, że zwyczajni nie robią nic nadzwyczajnego, a nadzwyczajni nie robią nawet nic zwyczajnego. Gdyby pisać o nich po kolei, zajęłoby to chyba cały rocznik „Odry". A przecież są i inne tematy, które należy poruszyć. Na przykład sprawę wjazdu tryumfalnego Kisiela do redakcji „Tygodnika Powszechnego", gdzie został powitany w strojach pontyfikalnych tradycyjną lampką wina (tradycyjna lampka wina jest tradycyjną od czasów Wierzynka aż do Wolasa prezydenta i redaktora Balickiego). Warto napisać o nagrodzie publicystycznej miasta Krakowa przyznanej po polsku na biało i na czerwono, żeby utrzymać kolory państwowe, więc redaktorowi „Tygodnika Powszechnego" Jerzemu Turowiczowi i redaktorowi „Dziennika Polskiego", zażartemu szperaczowi i współczesnemu encyklopedyście Jaszczowi vel Janowi A. Szczepańskiemu. O takich hecach krakowskich musi się napisać, bo lepszych obrazków nie namalowałby najbardziej dowcipny i najodważniejszy ze wszystkich odważnych kolorysta. Ale to później się tak pobawimy. Na razie ad rem.

„Jestem posągiem człowieka na posągu świata."

BEZWĄTPIENIA popularną postacią Krakowa jest Julian Przyboś. Przyboś jest wielorzeczownikowy. Więc: poeta, redaktor, laureat, b. prezes Zarządu Głównego Z. Z. L. P., b. poseł, znawca Mickiewicza. Jest to człowiek nad wyraz stateczny, wysokoczoły i gdyby znalazł się na Mont Blanc, mógłby o sobie powiedzieć nie bez słuszności — „jestem posągiem człowieka na posągu świata", ale nie powie tak ponieważ na Mont Blanc nie będzie, a po drugie woli Mickiewicza od Słowackiego. Ponadto Przyboś uznaje tylko Różewicza, a Różewicz jak wiadomo jedną pannę z Częstochowy. W tym kole zamykają się zainteresowania poezją młodych u tego mistrza skrótu. Jeszcze jeden rys charakterystyczny dla tego twórcy: był w Czechosłowacji.

NIE wspomniałem jeszcze nigdy o Helenie Wielowieyskiej. A żałujcie, he he he. Ileż tracą ci, którzy nie mieli przyjemności pogwarzyć z tą kobietą choćby przez minutę. Cóż to za rasa, co za erudycja, cóż to za pionierka! Nawet Kisielewski boi się jej dotknąć „pod włos". Robota w jej rękach, jak to się mówi pospolicie — pali się. Jest kierownikiem i Radia i Teatru Kameralnego i pisze i pisze całymi nocami. Bardzo się szanuje z Otwinowskim, a ponieważ ten ostatni lubi wywierać wpływ — obecnie Wielowieyska pisuje listy z Krakowa do Odrodzenia. Co będzie dalej z tym wpływem nie wiadomo? Literatka ta ma najlepsze serce w całym Związku. Pozwoliła się nawet dokładnie okraść, aby złodzieje chodzili ciepło ubrani w zimie. Wielowieyska ciągle traci. Kiedy rozparcelowano jej majątek, powiedziała — nareszcie. Co ja bym z tym robiła? Są inni, którzy to lepiej potrafią. Ta strata dotknęła ją najmniej. Taka już jest.

WOJCIECH Natanson jest obecnie, że tak powiem, na tapecie. A to wszystko przez wódkę. Upił się podobno i zniechęcił do alkoholu, po czym napisał list pasterski do Polaków w sprawie konsumpcji spirytusu. Było to akurat przed świętami. Wywołał ogromny popłoch, tak że monopol spirytusowy zmuszony był zapewnić drogą prasową wszystkich Polaków, że wcale nie myśli na święta ograniczyć produkcji tego szlachetnego płynu. Natanson otrzymał 20 milionów listów z pogróżkami i kilka listów pochwalnych w tej sprawie. W Krakowie wychodzi najlepsze pismo teatralne „Listy z Teatru". Kto jest jego redaktorem? Wojciech Natanson! Ma on wspaniały kaszkiet i wielką teczkę-biurko, zawierające w sobie otchłań artykułów. W Krakowie znają go pod przezwiskiem ojca dramatu polskiego, bowiem on, nie kto inny ma na sumieniu wiele spraw teatru krakowskiego. Żywioł teatru jest w nim silniejszy niż naturalny popęd do picia, który przezwyciężył. Niech więc służy kulturze ojczystej dalej i owocnie.

CODZIENNIE o dziesiątej wieczorem Anna Świrszczyńska, znana poetka, rozmawia z aniołkami. Nie należy jej wtedy przeszkadzać. Anioły chrzęszczą skrzydłami, szum rozprzestrzenia się na wszystkie mieszkania Krupniczej i powstają wizje poetycko-prozaiczno-krytyczne, które czytelnicy mogą zauważyć w pismach polskich. To jest to, co nazywa trafnie K. I. Gałczyński angelologią. Dziwne historie w literaturze wywodzą się z owych klaskań skrzydeł, szeptów Świrszczyńskiej oraz doskonałej akustyki domu. Ania jest blondynką i ma zapewnione wygodne miejsce w niebie. I to nie przez protekcję anielą. Broń Boże. Zawdzięcza to wyłącznie sobie i dzieciom, które tłumnie się modlą za nią, żeby nie pisywała dla nich bajek staropolszczyzną.

„Zawdzięcza to wyłącznie sobie i dzieciom, które tłumnie się za niego modlą."

OSOBNO trzeba powiedzieć kilka słów o Kazimierzu Wyce. Wyka to doktór filozofii i docent U. J. No i redaktor „Twórczości". Kto by się po nim spodziewał tylu rzeczy naraz. Pulchniutki, wesoły, znakomity rymotwórca (znalazł rym do słowa kandelabr) jest jednym z najbardziej zasłużonych członków Związku. Pisze już teraz artykuły krytyczne od wielkiego dzwonu i niżej Nałkowskiej nie schodzi. Dawniej lubiał Gombrowicza, Bo to od groteski irracjonalnej do realizmu — to postęp. Może. Nie znam się na tym. Wierzę. Szkoda, że nie ma na to przekonujących dowodów nie tylko w krytyce ale i w oryginalnej twórczości. Ale Wyka znajdzie. Ręczę za to. Pracuje on bowiem rano, wcześnie od piątej. Wtedy można wpaść na niejeden dobry pomysł. Świeży umysł wszystko wymyśli. Nawet realizm. Może któregoś dnia Kazimierz Wyka zbudzi się wcześniej niż zazwyczaj i realizm gotowy. Będzie pasował jak ulał. Krój modny.

„A to wszystko przez wódkę."

DO niedawna grał pierwsze skrzypce w Krakowie Zygmunt Fijas. Marksiści tłumnie schodzili się do niego, ponieważ jako żywo przypominał im niekiedy pewną teorię o pochodzeniu człowieka. Od kiedy jednak Fijas kupił sobie krawat i elektrolux dalsze obserwacje spełzły na niczym, ponieważ podobny był już raczej do skromnej wystawy sklepowej aniżeli do obiektu roztrząsań filozoficznych. Fijas wprowadził do literatury wiele nowych wyrazów, które przyjęły się nawet w najpoważniejszej twórczości (vide: Andrzejewski: „Zaraz po wojnie") a więc: złoty to fajgel, tysiąc zł to lis, upić się to wbrzdyngolić się (należy czytać osobno r i osobno z, a nie rz razem). Przytoczone przykłady są tylko minimalną częścią słownika Fijasa, brak dalszych proszę sobie wytłumaczyć tylko słabą pamięcią piszącego te słowa. Notes tego pisarza był małą historią życia gatunku ludzkiego na świecie i zarazem świętą księgą Związku, gdyż zapisane w nim były wszystkie sprawy gospodarcze naszej instytucji. Fijas godzinami czytał karty notesu zapełnione swoim maczkiem i stamtąd czerpał wiadomości złe i dobre oraz spisy wydatków na stołówkę. Obecnie mieszka on w Łodzi. Podobno lektura notesu jest jego najprzyjemniejszym zajęciem — w dalszym ciągu grzebie w nim całymi dniami. Tęskni bowiem za Krakowem. Kupił sobie podobno tresowanego jamnika, który kierując się węchem szybciej odnajduje w notesie odpowiednie notatki. A wszystko to aby usprawnić metodę wspomnień. Oto tęsknota. Ale to chyba dość. Myślałem, że opiszę wszystkich ale już widzę, że nie da się tego zrobić. Byłoby to zbyt nudne. Dlatego przyrzekam że na tym kończę te portrety. Niech mnie niewyśmiani pobiją. Zgadzam się nawet na bojkot. A przecież wiadomo, że pisarz woli, aby o nim źle pisano, niż żeby go pomijano. Trudno Nuda jest jeszcze straszniejsza.

Tadeusz Kwiatkowski

Co robią Niemcy

Fortuna za 6 pensów — „Frischer Wind" — Wiking i Preussen — Kobiety i śrutówki — Sława Lidic

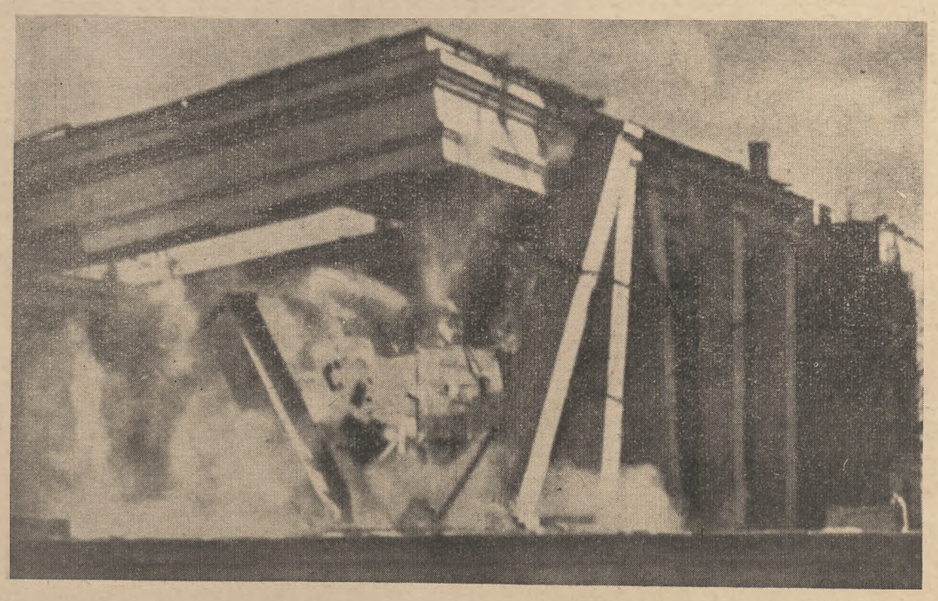

W Monachium wysadzono w powietrze słynną Feldherrnhalle i symbol imperializmu niemieckiego. Na zdjęciu moment wysadzenia kolumn.

GOSPODARCZY rozwój Niemiec z pomocą aliantów na niektórych odcinkach zdobywa się już na różne imponujące osiągnięcia. Jeżeli pewna fabryka radioodbiorników w Jenie na Targach Lipskich wystawia miniaturowy radioodbiornik na wszystkie rodzaje prądu za cenę 300,— Mrk, zapowiadając, że wkrótce produkcja tych odbiorników będzie do tego stopnia ożywiona, iż część ich kierowana będzie za granicę — to wydarzenie to jest nie tylko natury gospodarczej. Świadczy ono także o powrocie do pewnej ogólnej równowagi psychicznej, pozwalającej na długofalowe planowanie, likwidującej kompleks tymczasowości, narzucającej pewne jasno określone zarysy programu dnia i pracy. Wiele można wywnioskować z tak drobnego fraktu. Wyrasta pewność siebie. Rodzi się protest przeciwko kupczeniu — nielegalnemu, jak to podaje prasa berlińska — patentami niemieckimi.

RZECZYWIŚCIE miara nie jest równa. Ostatnio np. włoski koncern Montecatini rozpoczął produkcję pewnych wyrobów chemicznych według niemieckich patentów I. G.-Farben. Prasa strefy radzieckiej pyta się: „Skąd Włosi zdobyli dokładne dane o tajemnicach niemieckiego patentu?" Wyjaśniają to doniesienia prasy angielskiej, mówiąc o tym, iż na pewnej wystawie londyńskiej każdy przedsiębiorca Anglii, USA lub innych krajów kupić mógł fotokopie planów, patentów i niemieckich tajemnic gospodarczych w jednakowej cenie 6 pensów za stronę. Równocześnie pewna notatka w prasie berlińskiej donosi: „Produkcja japońskich aparatów fotograficznych według niemieckich typów jak dotąd przeznaczona jest głównie dla wojsk amerykańskich. Wkrótce zostanie ona jednak zwiększona i w roku 1947 — 100.000 aparatów typu Leica opuści fabryki japońskie z przeznaczeniem handlowym w Europie". I znowu pyta się prasa strefy radzieckiej: „Kto wytłumaczy i uzasadni ów rabunek niemieckich patentów przez byłych sprzymierzeńców Niemiec Hitlera? Jeśli wojna zaborcza jest przestępstwem — jak to stwierdzono na procesie norymberskim — to nie mogą na niej zarabiać współwinni przez to, że bez skrupułów przywłaszczają sobie duchową własność narodu niemieckiego („Berliner Zeitung" z kwietnia br.)". A więc obok planowania i rozrostu trwa walka ze skutkami wojny, przy czym za najcięższy cios dla niemieckiego życia gospodarczego i przemysłowego prasa niemiecka uważa właśnie owo „okradanie" Niemiec z patentów.

OTO inna troska. Młodzież. Młodzież schorowana, pozbawiona opieki rodzicielskiej, zdeprawowana. Bezimienna ankieta przeprowadzona wśród szesnastoletnich dziewcząt w jednej ze szkół zawodowych Berlina wykazała, że na 34 dziewcząt jednej klasy 7 chorych jest wenerycznie, 14 posiada przygodnych kochanków, którzy dostarczają im dodatkowych środków żywności, 8 zaś to kochanki żołnierzy okupacyjnych. Deprawacja młodzieży to rzecz oczywista ale, że nie są rzeczą oczywistą dla Niemców powody tej deprawacji, to rzecz dziwna i wynikająca chyba tylko z nagminnej niechęci oskarżania minionego reżimu. Seria rysunków z „Frischer Wind" świetnie to nastawienie charakteryzuje. Pierwszy rysunek: Restauracja. Deszcz pada. Dwóch panów. Jeden z nich czyta gazetę, drugi komentuje: „Nic dziwnego, że deszcz pada, jeśli ze stacji meteorologicznej zwolniono wybitnych uczonych, tylko dlatego, że byli nazistami". Drugi rysunek: Ulica. Chłopczyk biegnie i pada. Starsza paniusa widząc to mówi: „Nic dziwnego, że chłopczyk upadł, skoro zakazali istnienia HJ, w której byłby się przynajmniej nauczył maszerować." Trzeci obrazek: U lekarza. Chory z zabandażowaną głową. Lekarz mówi do chorego: „Nic dziwnego, że trafił pana w oko spadający z dachu kamień, jeśli nie mamy własnego wojska, które nauczyłoby pana przynajmniej rychłego i skutecznego „kryj się". Czwarty obrazek: Na boisku sportowym. Drużyna pana X przegrała mecz. Pan X oburzony: „Nic dziwnego, że moja drużyna nie zwyciężyła, skoro nie wolno jej śpiewać pieśni wojennych."

SKORO już jesteśmy przy sporcie: W berlińskim sporcie piłkarskim dzieją się naprawdę rzeczy zdumiewające. Młodzi chłopcy, wzrastające sławy piłkarskie, trening odbywają wbrew dowcipowi z „Frischer Wind" zupełnie po wojskowemu, śpiewając na melodię rozmaitych pieśni żołnierskich niewinne „hymny klubowe". Równocześnie odżywają stare imperialistyczne nazwy klubów. Istnieje klub sportowy „Bismarck", w Schoenebergu istnieje drużyna piłki nożnej „Wiking" (brakuje tylko jeszcze dwóch liter: SS). W roku 1894 założono w Berlinie „Berliner Sport Club Preussen 1894". Teraz klub ten reaktywował się. Ale władze alianckie nie chciały się zgodzić na nazwę „Preussen". Wobec tego członkowie klubu uchwalili nową nazwę „Deutscher Adler". Władze alianckie odrzuciły przymiotnik „Deutscher" i ostatecznie zostało „Adler". Czy nie ciekawa historyjka? Przypomina to zresztą innego rodzaju upór: W Hamburgu w domu przy Grindelhofie 33 mieszka niejaki Kohn, który po dziś dzień ma na drzwiach tabliczkę z napisem „Aryjczyk".

JESZCZE jedna troska. Kobiety Berlina, z początku tak ochoczo uczęszczające do usuwania gruzów, tak pełne zrozumienia dla dzieła odbudowy miasta, dziś coraz częściej uchylają się od pracy. Wobec tego prasa niemiecka przypomniała kilka zdjęć umieszczonych w końcu kwietnia 1945 w gazetach berlińskich. Widnieją na nich długie szeregi kobiet przy pracy w okopach. Kobiety są uśmiechnięte, niektóre przymierzają hełmy. W te same dni ostatnie resztki Volkssturmu zaopatrzone zostały przez generała von Hauensteina w 35 tysięcy śrutówek, wygrzebanych w jakimś archaicznym arsenale. Kobiety oświadczyły wówczas: Śrutówki nie obronią Berlina, ale my obronimy go naszą pracą i poświęceniem. Dziś prasa niemiecka przypomina te wydarzenia i woła: Berlin jest przed zagładą. Brońcie go, tak jak chciałyście go bronić w roku 1945. Waszą bronią pozostały niezmiennie łopata i kilof.

DZIEWCZĘTA i chłopcy niemieccy natomiast postanowili odbudować w pierwszym rzędzie czeską wioskę Lidice. Wiadomość to nieprawdopodobna ale prawdziwa. Propaganda czeska tak dokładnie i umiejętnie przedstawiła w świecie tragedię Lidic, że o niczym innym nie mówi się w prasie niemieckiej jak o Lidicach. W każdym razie przy dyskusji nad zbrodniami hitlerowskimi Lidice awansują na czoło przestępstw. Poeta niemiecki i dramaturg, przebywający długo na emigracji, Bert Brecht napisał poemat pt.: „Lidice", poeta austriacki Waldinger przygotował materiał do utworu scenicznego na tematy Lidic. Niemiecka wytwórnia filmowa „DEFA" zapowiedziała nakręcenie filmu na temat Lidic z Willy Birgelem w głównej roli. Na marginesie warto przypomnieć, że tenże Willy Birgel grał główną rolę powstańca polskiego w wyprodukowanym swego czasu przez Niemców filmie „Ku wolności" o powstaniu listopadowym, grywanym u nas w synchronizacji polskiej. Teraz młodzież niemiecka zrzeszona w organizacji Freie Deutsche Jugend zwróciła się do rządu czechosłowackiego z prośbą o prawo zupełnego odbudowania Lidic. Inicjatywa ta wyszła z grona grup młodzieżowych w Saksonii.

wisz.

Salon Warszawski

W Muzeum Narodowym został otwarty pierwszy po wojnie „Salon Warszawski", dający przegląd sił twórczych środowiska stołecznego.

Pokazano prac malarskich 144, rzeźbiarskich 31, grafiki i rysunku 35. Nie wnikając w najrozmaitsze odchylenia dwóch zasadniczych kierunków malarskich, reprezentowanych na wystawie, wyraźnie widać że zostaje wypierany kierunek, mający u nas dotychczas główne prawa obywatelstwa, a to impresjonizm i postimpresjonizm z różnymi odmianami i odchyleniami, którego miejsce zajmuje sztuka awangardowa.

W okresie przemian społecznych i ekonomicznych, w epoce bomby atomowej i penicyliny, sztuka wyprzedzająca zwykle życie tkwiła ostatnio jak gdyby w martwym punkcie, legitymując się zdobyczami 19 wieku, które tak głęboko weszły w zagadnienia malarskie naszego czasu.

Jakkolwiek jeszcze długo będą promieniowały dzieła artystów tego okresu i ich epigonów, to jednak w porównaniu do poprzednich powojennych wystaw w „Warszawskim Salonie" widzimy sui generis „przewekslowanie" zagadnień malarskich na krańcowo inne tory niż dotychczasowe.

Malarstwo awangardowe „modernistyczne" a właściwie „nowatorskie" (określenie ostatnie jest najczęściej używane) przedstawia rzeczywistość widzianą czy przeżywaną w sposób syntetyczny, czy też prymitywny — a nie bada świata w sposób fizykalno-naturalistyczny, negując w malarstwie perspektywę i anatomię. Malarstwo „nowatorskie" jakie oglądamy jest sztuką zdyscyplinowaną, konkretnie zmierzającą do odkryć, czy osiągnięć jeszcze nie uzyskanych — w przeciwieństwie do stylu panującego dotychczas u nas, malarstwa kontynuującego tradycje impresjonizmu i postimpresjonizmu. Czy to jest droga? — Któż może wiedzieć.

Jakkolwiek jednak i nasze malarstwo „nowatorskie" sięga korzeniami kolebki sztuki francuskiej „zaś ojcem jego jest genialny Pablo Picasso" wydaje się, że nowatorstwo jako sztuka młoda, niewyżyta, daje tym samym większe możliwości wypowiedzi i rozwiązań zagadnień twórczych, niż przez pół wieku przerabiany i pogłębiany przez legiony epigonów impresjonizm i postimpresjonizm.

Przechodząc do najogólniejszego omówienia niektórych prac, przede wszystkim trzeba podkreślić konsekwencję kompozycji i ekspresję jakie cechują „Ucieczkę" *Henryka Stażewskiego*, który u nas jako jeden z pierwszych wprowadził i nadal kontynuuje sztukę awangardową. Helena Krajewska w czterech płótnach doskonale, z dużym temperamentem malarskim organizuje płaszczyzny, jeszcze raz dając się poznać jako mocna pozycja naszej plastyki. *Marek Włodarski, M. Ewa Łunkiewiczowa, Juliusz Krajewski,* dają prace mocne, głęboko przemyślane — chociaż krańcowo różne. Duży wysiłek poszukiwań zagadnień malarskich widać u *Kazimierza Nity i Leokadii Tworkowskiej.* Bardzo frapuje ciekawe płótno „Chłopczyk na koniu" *Anastazji Zelenay.*

Jan Cybis — jak zwykle — daje wyraz szczytowych osiągnięć reprezentowanego kierunku, a w jednej z prac można się doszukać zapowiedzi innych niż dotychczas założeń malarskich. Między innymi na szczególne podkreślenie zasługują prace *Musiałowicza, Kowarskiej, Burkego, Gościmskiego, Cygańskiej-Walickiej, Michalskiego, Krycha.*

W rysunku i grafice wyróżniają się *Cękalska-Baurska, Ignacy Witz, Maria Hiszpańska.*

W rzeźbie Warszawa zawsze była silnym ośrodkiem, skupiającym tęgich rzeźbiarzy i choć na obecnym Salonie brak takich nazwisk jak T. Breyer, F. Strynkiewicz, F. Masiak, St. Szczepkowski, mimo to, jeszcze ta gałąź sztuki jakościowo i ilościowo, w porównaniu do ostatniego ogólnopolskiego Salonu, przedstawia się imponująco, a bardzo pocieszającym zjawiskiem jest fakt, że większość eksponatów pokazana jest w trwałym materiale, jak brąz i kamień.

Prace takie jak *Alfonsa Karnego* „Akt" *Stanisława Sikory,* „Anusia" czy *Józefa Trenarowskiego* „Madonna" napewno pozostaną jako trwały dorobek współczesnej rzeźby polskiej.

Dobre prace dają również *Ślusarczyk, Proszowski, Woźna, Nitschowa, Hoszowski,* to też dziwnym się wydaje skąd wzięły się — pośród prawie wyrównanego poziomu — eksponaty rzeźbiarskie oznaczone w katalogu nr 26 i 27.

Edward Piwowarski.

Henryk Stażewski: Ucieczka (Tempera).

Stanisław Sikora: Portret A. B., brąz — 1947.

Na skutek licznych próśb Czytelników oddaliśmy do oprawy pewną ilość

kompletów „Odry" za lata 1945 i 1946

z dokładnym spisem rzeczy

KOMPLETY JUŻ SĄ DO NABYCIA

Zamówienia prosimy kierować do Administracji „Dziennika Zachodniego" i „Odry" w Katowicach, przy ul. 3 Maja 12 Telefon: 30974 i 35582

Z teatrów krakowskich

„Odys u Feaków" Flukowskiego

Po szczerze zabawnym „Jajku Kolumba", po niepozbawionej ciekawych, plastycznych scen, ale budzącej pewne wątpliwości konstrukcją „Soczewicy...", wreszcie po jednoaktówce „Tęsknota za Julią" (powstałej pod tchnieniem Szekspira) zapoznał Flukowski krakowską publiczność z najoryginalniejszym swym utworem: „Odysem u Feaków", którego prapremiera odbyła się w Miejskim Starym Teatrze.

Tekst „Odysa", drukowany przed wojną zniewalał poetyckością i budził powszechne uznanie interesująco nakreśloną postacią tytułową. Na scenie walory te częściowo przepadły i to nie z winy reżyserii czy wykonawców. Poprostu nie zniosły ogniowej próby scenicznej. Wiadomo, że teatr, siedlisko wiecznych niespodzianek, nie znosi organicznie chwytów episkich. Takim chwytem jest m. in. w „Odysie" ukazywanie się bogini Ateny, bądź w postaci Odysa, bądź w postaci Nauzykai. Publiczność nie wyznaje się w tych przemianach, akcja zaciera się i gubi. Natomiast początkowe i końcowe sceny „Odysa" mają swoją ekspresję, szczególnie w trudnym monologu bohatera.

Omawianą prapremierę wystawiono z wielkim rozmachem i sumptem. Dekoracje i kostiumy *Stanisława Teisseyre'a* na ogół barwne i estetyczne, z wyjątkiem tła morskiego w pierwszym akcie. Muzyka *Stefana Kisielewskiego* przenikliwa a równocześnie dyskretna, nie przeładowana dysonansami, tętniąca płynną, sugestywną kantyleną, szczególnie w partiach choreograficznych, pomysłowo i stylowo opracowanych przez, krakowską Szkołę Dramatyczną, pozostającą pod dyrekcją Juliusza Osterwy. Od początku bowiem bież. sezonu szkoła ta zasila sceny krakowskie swym najzdolniejszym materiałem, idąc w tym wypadku za wzorem zagranicznych teatrów.

Adam Wierusz.

Kronika kulturalna Pomorza Zachodniego

WRAZ z nastaniem okresu wiosennego ożywiło się i życie kulturalne w Szczecinie. Klub Literacko-Artystyczny urządził, po dłuższej przerwie spowodowanej trudnościami materialnymi, wieczór dyskusyjny, na którym dyrektor Muzeum Miejskiego, Lech Krzekotowski wygłosił odczyt pt. **„Społeczeństwo a sztuka".** Odczyt wywołał żywe zainteresowanie i dyskusję wśród zebranych uczestników wieczoru. Serię odczytów, urozmaiconych występami artystycznymi zapowiada **Sekcja Artystyczna przy Małym Teatrze.** Pierwszy taki poranek literacko-muzyczny odbył się dnia 20 kwietnia br.

„Komedia Muzyczna" wystawiła „Męża pognębionego" Moliera i „Subretkę" J. Devala. Teatr Mały „Produkcję Pana Brandta" J. Rojewskiego i R. H. „Inżyniera" Br. Winawera. Wznowił swą działalność szczeciński teatr oświatowy, tzw. **Teatr „Sto"**, utworzony z amatorów-nauczycieli i uruchomiony przez Inspektorat Szkolny. Teatr „Sto" wystawił sztukę G. Siedleckiego pt. **„Ludzie są ludźmi".** Również żywo rozwija się **teatr kukiełkowy „Czarodziej".** Ostatnio teatrzyk ten wystawił „Bajowe bajeczki".

Nie brak nawet w Szczecinie **Szkoły Baletu i Tańca Plastycznego,** jedynej tego rodzaju instytucji na Pomorzu Zachodnim. Wolne Studium Sztuk Plastycznych zostało przekształcone przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na **Szkołę Sztuk Plastycznych.** Plastycy szczecińscy wspólnie z plastykami gdańskimi zapowiadają wielką **Wystawę Sztuki Wybrzeża.** Napłynęło również paru literatów do Szczecina. Stanowisko naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki objął młody poeta **Witold Wirpsza.** Próbuje się osiedlić w Szczecinie **Franciszek Gil,** przebywający tu już od pewnego czasu. Klub Literacko - Artystyczny zapowiada przyjazd prof. **Karola Górskiego i Ewy Szelburg-Zarembiny.**

Kto wie jednak, czy najważniejszym wydarzeniem w dziedzinie kulturalnej nie była nowa konferencja teatralna w dniu 17 kwietnia, zainicjowana przez nowego naczelnika Kultury i Sztuki p. W. Wirpszę. Na konferencji tej bowiem postanowiono ostatecznie zlikwidować chaos i brak koordynacji w planowym rozwoju życia teatralnego na Pomorzu Zachodnim. Wysunięto więc konkretny plan, który w razie zatwierdzenia go przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, spowoduje przełom w życiu teatralnym. Po raz pierwszy bowiem położyli zgodnie swe podpisy trzej dyrektorzy, względnie kierownicy teatrów Pomorza Zachodniego, pod rezolucję, w której domagają się następujących rzeczy:

1. stworzenia **trzech zawodowych teatrów** na terenie województwa szczecińskiego, opierając się na już istniejącym teatrze zawodowym „Komedia Muzyczna" oraz na teatrach pracujących aktualnie w Szczecinie i na Pomorzu Zachodnim, a mianowicie na Teatrze Małym i Teatrze Miejskim w Słupsku, względnie teatrze ZZK w Szczecinie, który miałby być teatrem objazdowym.

2. zorganizowania wymienionych teatrów **w instytucji nadrzędnej,** prowadzącej **wspólną** dla wszystkich teatrów **administrację i politykę finansową.** W ramach tej nadrzędnej instytucji mieścić się będzie **Rada Repertuarowa** oraz angażować się będzie **wspólny zespół aktorski,** pozostający do dyspozycji dyrektorów poszczególnych teatrów. Wzorem w tym wypadku są już istniejące, podobne organizacje teatralne w Warszawie i Krakowie.

3. wymienione wyżej teatry występować będą z zachowaniem poszczególnych nazw — Teatr „Komedia Muzyczna" jako **„Teatr Polski"** pod dyrekcją Syl. Czosnowskiego, **Teatr Mały** pod dyr. Zb. Lubasa oraz **Teatr ZZK im. Ludwika Solskiego** pod dyr. Bron. Skąpskiego. Wszystkie jednak teatry występować będą pod wspólną egidą jako **Teatry Województwa Szczecińskiego,** która to nazwa będzie jednocześnie określeniem nadrzędnej instytucji nad wszystkimi trzema teatrami. Głównego administratora wyznaczy Warszawa, aby uniknąć jakichkolwiek animozji lokalnych.

W program teatralnego wychowania postanowiono wciągnąć w jak najszerszej mierze młodzież szkolną i za pośrednictwem związków zawodowych szerokie masy robotnicze.

Projektem tym rzucono nie tylko pomost ponad najbardziej zadrażnionymi sprawami personalnymi i konkurencyjnymi, ale stworzono jedynie realny i konieczny plan, który może unormować, nie zawsze szczęśliwie dotąd rozwiązywane, zagadnienia teatralne.

Istnieje poza tym uzasadniona nadzieja, że za tym przykładem pójdą też inne organizacje kulturalne i „zestrzeliwszy myśli w jedno ognisko" będą mogły pracować z większym niż dotąd efektem. Nie stać nas bowiem na marnowanie energii, a zadania, które stoją przed nami na Pomorzu Zachodnim są naprawdę wielkie. W mieście, liczącym już dziś ponad 120.000 mieszkańców i mającym szeroki wylot gospodarczy na świat, wyłaniają się nowe potrzeby, które należy jak najszybciej realizować. Kwestią np. najbliższego czasu jest konieczność **scalenia wysiłku artystycznego** takich organizacji istniejących w Szczecinie, jak **Związek Zawodowy Plastyków, Związek Zawodowy Muzyków** czy namiastka Związku Zawodowego Literatów, jakim jest w tej chwili **Klub Literacko-Artystyczny.** Rzucono już projekt, ażeby z tych trzech organizacji wyłonić instytucję nadrzędną, coś w rodzaju **Klubu Artystycznego,** który by jednoczył i harmonizował wszystkie wysiłki tych trzech związków. Dotychczas bowiem wszystkie te organizacje chodziły luzem i nie mogły znaleźć wspólnej platformy artystycznej.

Oto są pierwsze jaskółki wiosenne nowego ożywienia kulturalnego w Szczecinie. Nie wątpimy, że są one zapowiedzią dalszego rozszerzenia życia kulturalnego na tutejszym terenie.

Szereg miast i miasteczek na Pomorzu Zachodnim wykazuje powolne wprawdzie, ale stałe ożywienie kulturalne. Spośród nich najwięcej aktywności posiada Słupsk i Koszalin. W Słupsku np. wystawił Teatr Miejski z wielką starannością i powodzeniem „Skąpca" Moliera. Również daje znać o sobie Myślibórz i Bytów. W tym ostatnim działa amatorski zespół młodzieży oraz Oddział Towarzystwa Teatrów i Muzyki Ludowej, który wystawił ostatnio „Pana Jowialskiego", a zachęcony powodzeniem powtórzył tę sztukę w Słupsku. Obecnie zespół ten przygotowuje się do wystawienia „Małżeństwa Loli" Zbierzchowskiego, a nawet planuje wystawienie oryginalnego utworu scenicznego napisanego przez miejscową autorkę. Świadczy to niewątpliwie dobrze o pewnych ambicjach w ośrodkach, odległych od Szczecina.

Samopomoc Chłopska na terenie Pomorza Zachodniego może się również poszczycić pewnymi rezultatami swej pracy. Z inicjatywy tej bowiem instytucji zorganizowano 9 zespołów teatralnych i 2 kapele ludowe, z czego 2 zespoły w powiecie starogardzkim, 4 w powiecie sławieńskim, 1 w weleckim i 2 w powiecie bytowskim. Ze sprawozdań referentów Kultury i Sztuki wynika, że teren Pomorza Zachodniego, pozbawiony stałego teatru objazdowego i wartościowych imprez artystycznych wykazuje jednak bardzo dużą chłonność i zainteresowanie dla spraw kulturalnych, a zwłaszcza artystycznych. Jest to zrozumiałe nie tylko ze względu na wzrastającą normalizację życia na tym terenie i nasycenie go dzielnym elementem osadniczym, ale także tłumaczy się brakiem rozrywek kulturalnych. Nic też dziwnego, że różnego rodzaju grasanci i pseudo-artyści wykorzystują te momenty głodu artystycznego i występują bezkarnie, znajdując łatwe pole do zarobku. Imprezy takie organizują ci artyści w bardzo łatwy sposób. Wywieszają np. — jak to miało miejsce w jednym z miast — ogłoszenie, że poszukują talentów aktorskich do uruchomienia objazdowego teatrzyku, montują błyskawicznie zespół z najbardziej podejrzanych elementów i wyruszają na połów pieniędzy Rezultat jest wiadomy: nie odróżnia się potem szmiry od sztuki.

W Koszalinie np. wystawił taki amatorski zespół, biorący zawodowo pieniądze, sztukę pt. „Noc poślubna" Arnolda i Bacha, autorów, którzy przed wojną wystawili antypolską sztukę w Berlinie. Niewiele może tu pomóc ingerencja miejskich czy powiatowych referentów Kultury i Sztuki, gdyż wielu z nich niewiele ma wspólnego z kulturą. Jeden z nich np. nadesłał sprawozdanie do Wojewódzkiego Urzędu Kultury i Sztuki w Szczecinie, w którym opisując jakąś wystawioną sztukę nazwał ją poprostu, dla nadania sobie splendoru naukowego, **„sztuką izochromatyczną".** Takich „izochromatycznych" przedstawicieli kultury jest na Pomorzu Zachodnim jeszcze dużo.

S. T.

„Odys u Feaków" St. Flukowskiego w Miejskim Starym Teatrze w Krakowie. (Akt I, scena zbiorowa)

Tydzień Wrocławia

20. IV. — 27. IV.

ŻYCIE LITERACKIE

24. IV. odbył się 51 czwartek literacki z odczytem prof. dr Stanisława Rosponda pt. „Język literatury XX wieku".

ŻYCIE TEATRALNE

Zarządzeniem ministra Kultury i Sztuki z dnia 19. IV. Teatr Dolnośląski we Wrocławiu przekształcony został na Państwowy Teatr Dolnośląski.

22. IV. w Teatrze Dolnośląskim premiera komedii Pugeta pt. „Zielone lata", w reżyserii M. L. Jabłonkówny.

25. IV. w Teatrze Popularnym premiera komedii Adama Grzymały-Siedleckiego pt. „Sublokatorka".

26. IV. w Teatrze Lalki i Aktora premiera baśni scenicznej M. Kownackiej „O strasznym smoku i dzielnym szewczyku".

ŻYCIE NAUKOWE

23. IV. odbyło się zebranie naukowe Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza z referatem prof. dr Bolesława Gaweckiego pt. „Mistycyzm Mickiewicza".

25. IV. 33 posiedzenie naukowe Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego, na którym M. Wolibner zreferował niepublikowane wyniki badań zmarłego matematyka, Leona Lichtensteina, dotyczące prawa grawitacji.

25. IV. zebranie Zrzeszenia Prawników z referatem mgr. Stanisława Janikowskiego pt. „Idea państwa u Anglików".

INNE WYDARZENIA

27. IV. odbyło się w salach Ratusza otwarcie wystawy prac malarskich Eugeniusza Gepperta.

27. IV. — 4. V.

ŻYCIE MUZYCZNE

2. V. Premiera opery Verdiego „Rigoletto". Reżyseria St. Drabika, dyryguje Stefan Syryłło, układ baletu — Zygmunt Patkowski. Udział biorą artyści Opery Dolnośląskiej z Marianem Woźniczką, Dunką Śleczkowską i Władysławem Szeptyckim na czele.

ŻYCIE NAUKOWE

29. IV. odbyło się zebranie naukowe Wydziału Filologicznego Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego z referatem prof. dr Leszka Ossowskiego pt. „Czas zaniku rosyjskich różnic intonacyjnych".

INNE WYDARZENIA

27. IV. odbył się na Oporowie zlot wrocławskich hufców Z. H. P. Defiladę 1200 harcerzy zgrupowanych w 30 drużynach odebrał hm. Szopa.

4. V. z okazji Święta Oświaty odbyła się w lokalu I Gimnazjum Państwowego uroczysta akademia dla młodzieży szkolnej, zorganizowana przez Dolnośląski Oddział Związku Księgarzy. W akademii tej pod hasłem „Czytelnik i książka" udział wzięli: W. Żukrowski, M. Arct, S. Łoś. Punktem centralnym programu było przekazanie Zawodowemu Gimnazjum Rzemieślniczemu biblioteki szkolnej, ofiarowanej przez Związek Księgarzy. Nastąpiło również wręczenie dyplomów konkursowych za najlepszą wystawę księgarską we Wrocławiu. Pierwsze miejsce uzyskał „Czytelnik", drugie „Wiedza", trzecie p. Anna Jasielska.

4. V. odbyło się w Ośrodku Dydaktycznym przy ul. Dąbrowskiego otwarcie wystawy polskiej książki powojennej, obejmującej wydawnictwa z lat 1944 — 1947.

Wśród czasopism

Czytelnik prasy polskiej, karmiony obficie sprawozdaniami z wieców, ważnych i nieważnych uroczystości, konferencji, posiedzeń, „odpraw" itp. widocznie w trosce o to, by nie przeciążać go nadmiarem tego rodzaju materiału, który przy skromnym zaopatrzeniu w papier nie pozwala dziennikom naszym na omawianie wielu spraw dużej wagi, musiał się kontentować lakonicznymi tylko wzmiankami o tym, że w dniach 26 i 27 kwietnia Gniezno było widownią olbrzymiej manifestacji katolickiej z udziałem całego episkopatu ku czci „patrona trzech narodów", św. Wojciecha w 950-tą rocznicę jego męczeńskiej śmierci. Było wielu takich wśród tych czytelników, którym musiało za całą informację wystarczyć jedno zdanie w wieczornym dzienniku radiowym w dzień po uroczystościach. Naturalnie nie odnosi się to do czytelników prasy katolickiej. Dziennik „Słowo Powszechne", tygodniki „Tygodnik Powszechny", „Tygodnik Warszawski" oraz „Dziś i Jutro" przyniosły bowiem obfity materiał okolicznościowy.

Fakt, że wspomniana rocznica przypada w krótki czas po długim okresie wojny i niewoli, nie pozwolił chyba na trwalsze jej uczczenie niż seria artykułów historycznych i publicystycznych, że nie można było uczynić poważniejszego wysiłku w kierunku częściowego choć wyrównania zaniedbań w dziedzinie badań historycznych dotyczących postaci św. Wojciecha, jego roli, znaczenia i kierunku odtworzenia pełniejszego obrazu jego czasów. Na zaniedbania te słusznie narzeka *Antoni Gołubiew* w *„Tygodniku Powszechnym"*, apelując do historyków polskich o zainteresowanie się tym tematem. Że zaniedbania te są niepoślednie, wynika z przestudiowania okolicznościowych numerów wspomnianych pism. Artykuły pochodzące od różnych autorów, wśród których profesorowie uniwersytetów i pisarze odtwarzający w powieściach czasy Bolesława Chrobrego i jego świętego przyjaciela, przeważnie niewiele różnią się od siebie treścią, w znacznej mierze powtarzają się, przez co dają w rezultacie pewien „sztamp" naszej wiedzy o św. Wojciechu. Zresztą pewną syntezę zagadnienia historycznego, któremu na imię św. Wojciech, i zagadnienia jego świętości z wyciągnięciem aktualnych dla katolicyzmu polskiego wniosków przynosi *list pasterski J. Em. Ks. Kard. Prymasa A. Hlonda,* którego jedyną słabą stroną jest styl zbyt kwiecisty i przesadnie obrazowy. List ten pięknie nawiązuje do czeskiego pochodzenia świętego, doskonale aktualizuje charakter tej świętości, która wyrosła z walki o chrześcijańskie ideały życiowe, prowadzonej we własnym środowisku narodowym i wszędzie gdziekolwiek działał sam św. Wojciech lub jego uczniowie, z czynnego zmagania się z pogaństwem zarówno tym pokrytym warstewką chrześcijańskich pozorów, jak i tym jeszcze wpływem wiary chrześcijańskiej nie poruszonym.

Z artykułów poświęconych samemu świętemu, kolejom jego życia i aktualnemu jego znaczeniu bynajmniej nie przez lokalny, „Odrzański" patriotyzm pragnąłbym wyróżnić artykuł *Jana Władysława Grabskiego: Święty Wojciech — patron Polski dzisiejszej (Tygodnik Warszawski,* nr 17). Grabski, który postać św. Wojciecha wprowadził do pierwszego tomu swojej *Sagi o Jarlu Broniszu,* czyniąc go bohaterem obszernego i mającego duże znaczenie dla wewnętrznych przeżyć głównej postaci powieści epizodu, posłużył się w tym artykule przede wszystkim piękną, zapożyczoną od Lelewela konstrukcją. Kreśli dzieje św. Wojciecha na materiale, którego dostarcza mu osiemnastoczłonowa płaskorzeźba na słynnych drzwiach katedry gnieźnieńskiej, pochodzących z XII wieku, gdzie ukazane są najważniejsze sceny z życia pierwszego męczennika chrześcijańskiej Słowiańszczyzny. Szkic Grabskiego przestaje być tym samym martwą relacją historyczną, nieciekawym powtarzaniem tych samych faktów, staje się obrazem biograficznym barwnym i pociągającym. Równie interesujące i przemawiające do czytelników są końcowe nawiązania Grabskiego, który pisze: „Który naród w Europie miał wyraźniejszą matrykułę polityczną i geograficzną, który naród miał uczciwiej przyznane prawa do swych ziem i swej roli, jak Polska w 1000 roku na Zjeździe Gnieźnieńskim, któremu patronowała aureola męczennika św. Wojciecha a zatwierdzała go zgoda Papieża, cesarza rzymskiego i króla niemieckiego?"... „To nie fantazja literacka, ale porównanie dzisiejszej rzeczywistości z testamentem 1000 roku narzuca nam św. Wojciecha jako patrona naszych granic zachodnich, jako patrona naszych obowiązków względem ziem macierzystych, ziem objętych granicami pierwszych polskich biskupstw: Kołobrzega, Wrocławia, Krakowa, Gniezna i Poznania". Następnie podkreśla jeszcze Grabski aktualność św. Wojciecha jako głosiciela zasady, że „nie miecz i przemoc. lecz miłość i ofiara zjednuje bliźnich dla wielkiej idei, pogan dla chrześcijaństwa", jako symbolu czesko-polskiego pobratymstwa i współpracy, jako wzoru nieugiętego i nieustraszonego chrześcijanina.

Wokół wspaniałych drzwi gnieźnieskich obraca się również inny interesujący artykuł, *Michała Walickiego Gemma civitatis („Dziś i Jutro",* nr 17). Walicki upatruje w tych drzwiach fundację narodową ku czci świętego, której dzieje przypuszczalnie wyprzedzają datę powstania samego dzieła, prawdopodobny rok 1127. Autor stawia supozycję, że ten rzadki zabytek powstał w Polsce jedynie pod kierunkiem artystycznym przybysza znad Mozy. Możemy mieć więc żal do prasy, że zbyt skąpo zreprodukowała te drzwi z okazji gnieźnieńskich uroczystości, a już zdecydowaną pretensję do *„Przewodnika Katolickiego"*, który wydając specjalną jednodniówkę na ten dzień, „ozdobił" ją dziesięcioma płaskorzeźbami O. Efrema z Kcyni, których poziom artystyczny, najłagodniej mówiąc, jest nieprzyjemny.

„Tygodnik Powszechny" uczcił rocznicę św. Wojciecha trzema artykułami: prof. *Jan Dąbrowski* pisze o świętym jako *apostole trzech narodów.* wskazując na rolę, jaką odegrał sam św. Wojciech, jego uczniowie i jego późniejszy kult w rozszerzeniu się i ugruntowaniu chrześcijaństwa w Czechach, na Węgrzech i w Polsce; *ks. Tadeusz Glemma* charakteryzuje korzyści, jakie odniosła Polska jako protektorka misji apostolskiej św. Wojciecha, korzyści o wielkim znaczeniu politycznym; *Antoni Gołubiew* daje biografię i sylwetkę „pierwszego męczennika Słowiańszczyzny". Ten sam zamiar podejmuje w formie więcej literackiej i impresjonistycznej *Lesław M. Bartelski w „Dziś i Jutro". „Tygodnik Warszawski"* na pierwszym miejscu wydrukował omawiany już list pasterski, a poza tym uzupełnił zrelacjonowany już artykuł Grabskiego artykulikiem informacyjnym ks. J. Umińskiego.

Polscy intelektualiści katoliccy posiadają swój osobny, poważny, problemowy organ, który niestety prowadzi dosyć anemiczny żywot. Jest to miesięcznik *„Znak"*, który w praktyce wychodzi jednak przeważnie jako kwartalnik. Pismo istnieje już przeszło rok, a teraz dopiero wyszedł zeszyt czwarty z datą styczeń - kwiecień 1947. Pismo redaguje zespół, na którego czele stoją *Hanna Malewska i Stanisław Stomma.* Wspomniany czwarty zeszyt zasługuje specjalnie na uwagę przez dwie swoje pozycje: rozważania *Jerzego Turowicza* na temat *stosunku katolicyzmu do radykalizmu społecznego* (istotne, „idealistyczne" cele radykalizmu społecznego zgadzają się z katolicyzmem, katolicyzm jednak domaga się odrzucenia celów ubocznych, odwetowych radykalizmu i przystosowania form radykalizmu do zasad moralności chrześcijańskiej), oraz przez piękne, zwięzłe studium *Bogdana Suchodolskiego* pt. *Prawda.* Ponadto w numerze tym pisze redaktor *Temps Présent Stanislas Fumet, Józef Marian* Święcicki rozprawia się z wizjami przyszłości, snutymi 40 lat temu przez H. G. Wellsa, *Jerzy Zawieyski* kontynuuje druk swego dramatu *Mąż doskonały.* Zeszyt uzupełniają obszerne i wartościowe działy: „Poszukiwania" i „Zdarzenia-książki-ludzie". (ki)

Festival szekspirowski

rozpoczął się w Bielsku

Bieżący sezon teatralny zakończyć ma pierwszy wielki festival szekspirowski, zorganizowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na zasadach konkursu, w którym rywalizację swoją zgłosiły 22 sceny polskie. Już dzisiaj staje się widocznym, że wadą tego konkursu będzie zbyt późna pora, na jaką przypadnie jego realizacja, sam schyłek sezonu, okres mniejszego zainteresowania teatrem, co nie pozwoli poszczególnym scenom wygrać w pełni dobrych spektakli.

Bo pierwszym teatrem, który stanął na starcie jest Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie pod dyrekcją Stanisława Kwaskowskiego. Pod koniec kwietnia wystąpił on z premierą szekspirowskiej komedii **Poskromienie złośnicy,** zgłoszonej również przez teatry państwowe w Katowicach i Wrocławiu. Ponieważ Katowice zmieniły decyzję na **Sen nocy letniej,** teatr bielsko-cieszyński w zakresie tego samego utworu konkurować będzie tylko z Wrocławiem.

Bez wątpienia w owej przeszło dwudziestce zgłoszonych do konkursu teatrów jest spora gromada scen, które są bez szans do nagrody głównej, ale sam fakt, że podejmują one rywalizację, jest zjawiskiem w pełni dodatnim, które tylko może przynieść im korzyść. Wydawać by się mogło, że do tych teatrów z minimalnymi szansami należy „prowincjonalny", na uboczu położony teatr bielsko-cieszyński. Ujrzawszy jednak przedstawienie **Poskromienie złośnicy** musimy powiedzieć, że jeśli Bielsko widoków na nagrodę nie ma, to poziom konkursu będzie wysoki i laur przypadnie spektaklowi dużej miary.

Na bielskie przedstawienie szekspirowskie w sposób najbardziej harmonijny złożyła się suma rzetelnej pracy inscenizatora i reżysera, aktorów, dekoratora i personelu pomocniczo-technicznego, stwarzając całość, którą oglądało się z żywą przyjemnością i w wielu fragmentach z prawdziwym zadowoleniem. Dyr. Kwaskowski jako inscenizator poradził sobie z tekstem, skondensował go, uwolnił od zbędnego i niezbyt fortunnie doczepionego do akcji prologu, zamykając widowisko w 11 odsłonach nie rażących żadnymi dłużyznami. Jako reżyser nadał mu właściwe tempo gry i styl jednolity od początku do końca, utrzymany bez skłonności do przesady w kierunku groteski czy farsy, utrafiający w gatunek tej niefrasobliwej, na średniowiecznych elementach opartej komedii. Temu zawdzięczać należy, że widza nie rażą dziś jej uproszczenia i nieprawdopodobieństwa, że nie zżyma się na grubo jak na nasze pojęcia ciosaną myśl przewodnią i na niewybredne metody stosowane przy owym poskramianiu. Obsada trzynastu ważniejszych ról oraz dobór obsady do kilku pozostałych tak, by nie psuły one całości, dla teatru bielsko-cieszyńskiego stanowiła nie lada problem. Rozwiązano go tak przynajmniej, że ta trzynastka nie nasuwała zastrzeżeń, nie budziła sprzeciwów, stanęła na poziomie niemal bez odchyleń. To był pokaz aktorskich możliwości tej sceny i niezależnie od tego czy innego słabszego punktu pokaz ten wypadł bardzo dobrze. Trudno jest wymienić tutaj całą tę trzynastkę, ale nie można pominąć przynajmniej pierwszoplanowej czwórki amantów, którą tworzyły panie **Wanda Stanisławska-Lothe i Stanisława Łopuszańska** oraz panowie **Kazimierz Meres i Stanisław Malatyński.** Krzywdą też byłoby pominięcie ogólnym komplementem gry pp. **Romana Cirina** i **Jerzego Krukowskiego** w rolach Gremia i Hortensjusza oraz pp. **Stanisława Kwaskowskiego** i **Feliksa Felińskiego** jako Grumia i Kurtysa. Pozostali już starali się tylko dostosowywać do tego pierwszego planu, któremu spektakl zawdzięcza bardzo wiele. Właściwie to każda z tych ról wymagałaby choć kilku słów charakterystyki z podkreśleniem tych cech, które utrwalają je w sposób dodatni w pamięci widza.

P. **Feliks Krassowski** rozwiązał podwójnie trudny problem dekoracji w sposób wysoce pomysłowy, praktyczny i budzący zaufanie. Podwójna trudność polegała tu na tej swobodzie, z jaką Szekspir zawsze sobie poczyna ze zmianami sytuacji i dekoracji, i na szczupłości sceny bielskiej. Zmieniając tylko napis nad drzwiami tego samego domu przypomniał p. Krassowski widzowi, że Szekspir w swoim teatrze robił podobnie, i wybrnął tym samym z wielu kłopotów. Poza tym skonstruował scenę tak, że operował kilkoma zasadniczymi elementami dekoracji przesuwając je, usuwając lub wprowadzając z powrotem i osiągając tym doskonały rezultat przy niezmniejszonym efekcie. Czasem konstrukcje te były zbyt ciasne, ale na to już chyba nie było rady.

Najbardziej dodatnie wrażenie robiły początkowe cztery sceny, stanowiące w inscenizacyjnym ujęciu dyr. Kwaskowskiego „akt" pierwszy. To zaiteresowanie nie utrzymywało się na tym samym poziomie w dwóch dalszych „aktach" i powracało już tylko w pojedynczych odsłonach. Tempo jakby trochę opadło i znów wracało do początkowej normy. Związane jest to jednak i z samą konstrukcją tej komedii Szekspira, która posiada dosyć szybką i barwną ekspozycję, a na pozostałe ogniwa rozkłada już wątek o mniejszych walorach scenicznych, to tytułowe „poskramianie złośnicy", które jest już bardziej statyczne i nie równoważy się nasileniem rozwoju drugiego wątku erotycznego.

Nie moją rzeczą jest wchodzić w kompetencje jury konkursu szekspirowskiego, ale nie ulega wątpliwości, że teatr bielsko-cieszyński swojego udziału w konkursie wstydzić się nie będzie potrzebował. Gdyby dawano nagrody za rzetelną pracę sceniczną i za maksimum włożonego w spektakl wysiłku, to dyr. Kwaskowski ze swoim sympatycznym zespołem byłby jednym z poważniejszych konkurentów. **Zdzisław Hierowski**

Nowy numer „Przeglądu Socjalistycz."

Ukazał się numer pierwszomajowy (4-5) „Przeglądu Socjalistycznego" o następującej treści:

Polska Partia Socjalistyczna do ludu pracującego miast i wsi.
St. Szwalbe: 1. V. 1946 — 1 .V. 1947.
T. Głowacki: Międzynarodowy ruch socjalistyczny.
H. Jabłoński: Jean Jaurès.
J. Hochfeld: Z zagadnień socjalistycznego humanizmu.
J. Topiński: Jedność myślenia, jedność działania, jedność organiczna.
A. Rapacki: Czym ma być spółdzielczość.
T. Dietrich: Rozważania nad rolą systemu finansowego.
P. Luty: Uwagi w sprawie organizacji spółdzielczości wiejskiej.
L. Blitt: Kryzys ekonomiczny W. Brytanii.
G. Timofiejew: Z ziem. obcej do Polski.
J. Beluch-Beloński: Jan Szczyrek.
KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU:
M. Złotorzycka: Pierwsze święta majowe w Polsce.
J. Durko: Giacomo Matteotti.
A. Steinsberg: Towarzysz Mikołaj.
NA HORYZONCIE:
W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.
IDEE — MYŚLI — ZAGADNIENIA:
J. Hochfeld: Nieuctwo i nieprzyzwoitość.
Z. Baucz: Zatrudnienie kobiet.
J. Miara: Polskie regiony konsumpcyjne.
S. Filipkowski: Walka z biurokracją.
S. Duszyński: Jeszcze o podziale na pracowników fizycznych i umysłowych.
O. Einfeld: Na temat organizacji ubezpieczeń.
A. Kaduszkiewicz: O postępie technicznym w kapitaliźmie.
Z ŻYCIA PARTII.
Notatnik referenta. (24)

Z teatrów szczecińskich

Pomiędzy prospektem teatralnym, zapowiadającym jakąś sztukę, a samym przedstawieniem, nie zawsze istnieje szczęśliwa harmonia. Winę ponosi tu niewątpliwie kierownik literacki danego teatru, jeżeli dany teatr takiego kierownika posiada. A posiadać go powinien, jeśli nie z innych względów, to choćby z uwagi na zarządzenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Teatr „Komedia Muzyczna" kierownika literackiego dotychczas nie posiada i z tego zapewne względu w prospektach czytaliśmy często nie tylko niewłaściwe sądy literackie, ale zdania, urągające zasadom stylistycznym. Tak było z programem teatralnym zapowiadającym „Pannę Maliczewską", a ostatnio z „Mężem pognębionym" („Grzegorz Dandin") Moliera. Objaśnienia, zamieszczone w tym prospekcie przypisują sztuce Moliera „rewolucyjne wartości społeczne" i stawiają ją na „wyżynach komedii obyczajowej". Jest to gruba przesada. Mówiąc o „rewolucyjności" autor prospektu myślał zapewne o krytyce klasy szlacheckiej, jednakże taka krytykę spotykamy u Moliera nie tylko w „Mężu pognębionym", ale także w wielu innych komediach. „Rewolucyjność" zaś, której morał sprowadza się m. in. do zachęty, ażeby bogaty wieśniak nie piął się do stanu szlacheckiego, bo będzie przez to „mężem pognębionym", jest bardzo wątpliwego gatunku. Ale z tym wszystkim byłoby pół biedy, gdyż Molier to Molier i nie trzeba do niego podchodzić akurat od strony „rewolucyjności społecznej", aby poczuć lwi pazur komediowy. „Grzegorz Dandin" jest raczej jedną ze słabszych sztuk Moliera, mimo tego zawiera niezaprzeczone wartości i dobrze się stało, że „Komedia Muzyczna" wprowadziła na scenę szczecińską tego genialnego komediopisarza francuskiego. Zastrzeżenia natomiast i to poważniejszej natury nasuwają się dopiero w związku ze sposobem wystawienia tej komedii.

Reżyser „Męża pognębionego" chciał uwspółcześnić Moliera i stworzył nowy scenariusz, który, rzekomo bez naruszenia tekstu samej komedii, prowadzi akcję sztuki równocześnie w dwóch stylach i dwu epokach — XVII i XX wieku. Pomysł ciekawy i, jak każda nowa próba podejścia do sztuki, zasługuje na uznanie. Niestety jednak to co zobaczyliśmy na premierze budzi szereg zasadniczych zastrzeżeń. Z Moliera bowiem zachował reżyser, p. Lotar, tylko sterotypowe postacie służących, mało zresztą ważne, i szlacheckich teściów Grzegorza Dandin. Reszta zaś została „uwspółcześniona" przez zamianę kostiumów siedemnastowiecznych na nowoczesne marynarki i kapelusze i wprowadzenie tzw. konferansjera. I to nie byłoby najgorsze, gdyby reżyser miał jakąś **jednolitą koncepcję** i umiał zharmonizować dwa style i dwie epoki. Zamiast tego jednak zobaczyliśmy mozaikę koncepcji i szczegółów, plączących się ze sobą i często zaprzeczających sobie nawzajem, (np. stosunek między fikcją artystyczną a realizmem).

Z wykonawców najlepszym był **p. Zbyszewski** jako Grzegorz Dandin oraz **p. Daszewski** w roli pana de Sotenville. Duży talent wykazał **p. Rybicki** jako służący Angeliki. Z pań dobre były **Rojkowska** (Pani de Sotenville) **i B. Czosnowska** (pokojówka Angeliki). P. Zarembianka utrzymywała się raczej w granicach poprawności. Konferansjerkę prowadził **p. Karczewski.** Najsłabszy był akt drugi, w którym aktorzy, próbując wmówić publiczności, że na scenie panuje ciemność, tańczyli dziarsko i bawili się w ciuciubabkę. Opracowanie muzyczne, nie zawsze oryginalne, pana Czosnowskiego.

Po „Grzegorzu Dandin" wystawiła „Komedia Muzyczna" sztukę Devala pt. **„Subretka".** Naturalnie, można i powinno się mieć duże zastrzeżenia co do socjalnej strony zagadnienia tej sztuki, jak i jej wartości artystycznej, która jest minimalna, można jednak o tym zapomnieć, gdy się widzi dobrą grę aktorską. Nic też dziwnego, że ta banalna sztuka, zagrana z talentem przez kilku aktorów „Komedii Muzycznej" przyciągnęła dawno nienotowaną ilość publiczności. O ile jedna czy dwie „Subretki" nigdy nie zaszkodzą, przeciwnie mogą nawet w pewnym sensie pomóc spopularyzowaniu teatru, to jednak **zbyt duża ilość procentowa tego rodzaju sztuk** w ogólnym rocznym repertuarze może bardzo zaszkodzić sprawie teatru. Publiczność przyzwyczajona do „Subretek" i „Roz kosznych dziewcząt" patrzeć będzie na sztukę z prawdziwego zdarzenia tak, jak recenzenci z organu p. Grzybowskiego. Nie pomogą tu żadne wykręty finansowe. Na dobrą sztukę, dobrze zagraną, publiczność zawsze przyjdzie. Teatr zaś ma pewne obowiązki społeczne w zakresie teatralnego wychowania widza i podniesienia jego smaku artystycznego. Może nowy kierownik literacki zaangażowany przez „Komedię Muzyczną" ułatwi dyrekcji lepszą orientację w repertuarze, który musi być pozbawiony eklektyzmu i przypadkowości.

Jeśli chodzi o ocenę gry aktorów należy zaznaczyć, że „Subretka" zagrana zastała dobrze. Na czoło wysunęła się **p. Czosnowska** jako Francoise. Doskonałe wczucie się w rolę i naturalność gry cechowały i w tej sztuce tę utalentowaną aktorkę. Dobrą grę aktorską pokazał nam też **p. Karczewski** jako Carrington oraz bawiący na gościnnych występach **p. Artur Młodnicki.** Przy tej czołowej trójce bardzo szczęśliwym był debiut **p. Zofii Stanisławskiej.** P. Zarembianka w roli lekkomyślnej Fillis i **p. Nowacki** jako służący dopełnili udany ensemble aktorski. Jedynym niedociągnięciem był występ **p. Wesołowskiej** w roli Auriol. Poza tym w rolach epizodycznych wystąpili: **P. Kalinowska i J. Koczoń.** Wystawienie „Subretki" potwierdza raz jeszcze powszechną opinię, że „Komedia Muzyczna" ma zły repertuar, a dobrych aktorów. Rzeczą najbliższej przyszłości powinno być harmonijne zestrojenie tych dwóch zasadniczych elementów, które dopiero razem tworzą to, co nazywamy dobrym i wartościowym teatrem.

Stanisław Telega.

Konkurs architektoniczno-rzeźbiarski

We Wrocławiu został rozstrzygnięty konkurs architektoniczno-rzeźbiarski na rozwiązanie cmentarza bohaterów II Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu.

Nagrodę w wysokości 50 tys. zł otrzymał projekt inż. arch. *Płaszyckiego* i art. rzeźb. *Borysa Michałowskiego* przy współpracy autorskiej architektów *Skibniewskiej, Płaszyckiej, Jasona.*

Nagrodzony projekt w zasadzie dzieli się na dwa fragmenty. Pierwsza część, leżąca na znacznej wyniosłości — doskonale jest widoczna od strony niemieckiej — ujęta w zwięzłą formę jak gdyby sarkofagu. Właściwy cmentarz to ogromna płaszczyzna zieleni, poprzecinana ścieżkami, a pośrodku w otoczeniu drzew monumentalna architektoniczna bryła z rzeźbami żołnierzy po rogach, z płonącym po środku zniczem, robi wrażenie słowiańskiego uroczyska.

Druga część projektu to położony w pewnej odległości od cmentarza pomnik-symbol. 12-metrowej wysokości rzeźba przedstawia Piasta, wspartego na mieczu, zwróconego twarzą na zachód. Figura potraktowana szeroko przemawia spokojem i monumentalnością. Ogólnie projekt nacechowany prostotą form i logicznością rozwiązań daje duży efekt.

Drugi projekt o charakterze raczej boiskowym — niecmentarnym — pomyślany na zbyt wielką skalę, z amfiteatrem obliczonym na 80.000 ludzi nie nadawał by się do realizacji.

Pozostałe prace wyraźnie odbiegają poziomem od dwóch nagrodzonych. (elk)

Korespondencja

Do Redakcji tygodnika „Odra".

Pan (ki) w rubryce „Wśród czasopism" („Odra", nr 17) wyraził się, że książkę W. Ogrodzińskiego „Dzieje piśmiennictwa śląskiego", której „Przegląd Zachodni" poświęcił piękne omówienie, „zbyłem" w „Odrodzeniu" „dziesięcioma wierszami".

Moja notatka bibliograficzna na ten temat, w dziale „Wśród książek" („Odrodzenie", nr 47, 1946) ma w rzeczywistości wierszy 88. Na szczegółową recenzję w tym dziale nie ma jednak miejsca. Chodzi w nim tylko o poinformowanie czytelników o pojawieniu się wartościowej nowości, o której dokładną recenzję poda albo inny dział tego tygodnika, albo potem inny miesięcznik, czy kwartalnik.

W ten sposób notatkami „Wśród książek" zwróciłem uwagę czytelników dotąd na około 50 książek, o których inne tygodniki nie podały przeważnie nawet wzmianki. Mam więc wrażenie, że i tak prowadzona rubryka ma swój sens, tym bardziej, że oparta jest na lekturze i do lektury zachęca. *Stefan Papée.*

Czy święto bezmyślności?

W okresie od 25 kwietnia do 25 maja odbywa się w całej Polsce akcja oczyszczania kraju z pozostałości niemczyzny, a zwłaszcza książek niemieckich. Akcją tą kierują organizacje społeczne. Mamy poważne zastrzeżenie do sposobu, w jaki niszczy się w wyniku tej akcji książki niemieckie. Od dwóch lat już obserwujemy, jak w najbardziej bezmyślny sposób zniszczyło się tysiące cennych książek niemieckich, dlatego tylko, że są one w języku niemieckim. Antykwariusze warszawscy lub krakowscy sprzedają już w tej chwili klasyków niemieckich, nie mówiąc o książkach technicznych, za drogie pieniądze, a biblioteki naukowe upominają się o książki, które w najgłupszy sposób poszły do pieca lub do kotłów. W marcu 1946 roku wyrzucono na deszcz z pewnego mieszkania wrocławskiego piękną prywatną biliotekę niemiecką, zawierającą prawie wszystkie przekłady z polskiej literatury beletrystycznej i klasyków polskich.

Książek niemieckich nie powinna młodzież, jak doniósł komunikat prasowy, przekazywać fabrykom papierniczym „do natychmiastowej przeróbki", książki te należy rzeczywiście zebrać, ale potem powinni je przeglądnąć fachowi bibliotekarze, by uchronić przed zniszczeniem dzieła cenne naukowo lub pomocne naszej młodzieży w studiach. Tak samo mamy zastrzeżenia co do podawania takiego komunikatu do prasy, która przecież idzie za granicę. Jeżeli mamy dość makulatury niemieckiej, to można ją przerobić na papier bez szkody dla kultury. Nie należy tego jednak rozgłaszać urbi et orbi, nie należy z tego powodu robić wielkiego święta. To tyle dla organizatorów tej niepotrzebnie roztrąbionej imprezy. *Paw.*

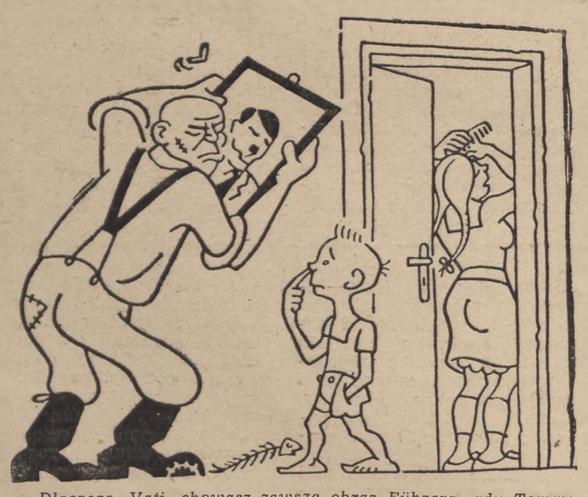

— Dlaczego, Vati, chowasz zawsze obraz Führera, gdy Tommy ma przyjść do naszej Hildegardy?

— To tylko na początek, mein Hänschen, dopóki się nie przyzwyczai. Rys. Evžen Seycek.

Krótkie spięcia

Mętniactwo

Tromtadractwo i grandilokwencja tworzą u nas osobny dział życia narodowego. Niczego więc w kochanej Polsce nie można powiedzieć ani napisać poprostu, tylko zawsze trzeba to czynić gromko, hucznie, zawile a wzniośle, fantazyjnie i bzdurnie. Na skutek takiego stanu rzeczy bardzo wiele skądinąd miłych i sympatycznych słów podlega straszliwej dewaluacji, tak że rozsądny człowiek konstatuje z przerażeniem niemal codziennie, że jego słownictwo staje się coraz bardziej ubogie. Trudno mu bowiem używać słów zdewaluowanych i zdyskredytowanych, zwłaszcza że za takie słowa, tak jak za zdewaluowaną monetę, bardzo niewiele można u słuchaczy czy u czytających nabyć.

Owa tromtadracja i grandilokwencja mają jeszcze to do siebie, że ze zrozumiałą łatwością przyczyniają się do przewartościowania najrozmaitszych spraw.

Naprzykład w jednym z ostatnich numerów tygodnika „Walka Młodych" znajdujemy taki grandilokwento-tromtadracki opis pt. „Freda-Górnik":

„Jest to kol. Alfreda Czarnecka. Po trzyletniej partyzantce w szeregach AL, osiedliła się nad samą Nysą Łużycką i pracuje w charakterze ... górnika.

Tak jak znali ją i cenili partyzanci — jako dobrego strzelca i żołnierza, dziś znają ją wszyscy na kopalni „Babin" w Łuknicach — jako najaktywniejszego członka koła ZWM i najlepszego robotnika. Partyzancka szkoła zahartowała, nauczyła Fredę, jak należy pracować. W męskim roboczym ubraniu zjeżdża dzień w dzień wraz z chłopakami do sztolni, by załadować i pchać wózki z węglem.

Freda pierwsza zainicjowała na kopalni młodzieżowy „Wyścig Pracy". Freda na zebraniach ZWM zachęcała kolegów do wytężonej pracy, bo „z drugiej strony Nysy Niemcy patrzą na nas."

Otóż tu właśnie grandilokwencja i tromtadractwo dokonały przewartościowania zasadniczej sprawy. Przecież — na miły Bóg — w tym nie ma absolutnie niczego radosnego, ani zachwycającego, że kobieta w wolnej, niepodległej demokratycznej Polsce, kobieta, która trzy lata walczyła w partyzantce — ładuje i pcha wózki z węglem na dnie kopalni! To może być tylko smutne i upokarzające i budzić zdumienie, że coś takiego jest u nas w ogóle możliwe!

Zawód górnika nie jest zawodem dla kobiety. Jest to praca ciężka, wyczerpująca i niebezpieczna, tak że ustawodawstwo wielu krajów po prostu zabrania pracy kobiet na dole w kopalniach. Nie wiemy bliżej, jak się ta sprawa obecnie u nas przedstawia, ale zdaje się, że w Polsce zasadniczo praca kobiet na dole w kopalniach jest również i teraz zabroniona.

Z czego więc tu się cieszyć i tromtadracić, że była partyzantka nie może dla siebie znaleźć innego, właściwszego dla swej płci zajęcia, jak „zjeżdżanie dzień w dzień wraz z chłopakami do sztolni" (z tą „sztolnią" to też jest nomenklatura górnicza od siedmiu boleści) i harowania tam ciężko na kawałek chleba? Co tu jest takiego, żeby aż tym się zachłystywać z podziwu i bzdurzyć na temat „wyścigu pracy" i innych tym podobnych historii?

„Walka Młodych", jako główny organ ZWM, powinna po otrzymaniu wiadomości, że gdzieś tam na Dolnym Śląsku kobieta, i to do tego członkini tego związku, pracuje na dole w kopalni jako zwyczajna ładowaczka i wózarka, nie zajmować się wypisywaniem wyświechtanych dytyrambów na ten temat, lecz domagać się, by owej Fredzie przydzielono inne zajęcie, a to już choćby z tego prostego powodu, że cały ów fakt obecnej pracy Fredy jest ni mniej ni więcej jak tylko — skandalem.

Niech więc ten skandal się szybko skończy, niech Freda otrzyma zajęcie odpowiednie dla kobiety, a „Walka Młodych" niech przestanie tromtadracić.

Takie są nasze skromne, ale za to rozsądne życzenia.

Niejaki X.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 30153